ODJAZD DO AMERYKI.

Bywaj mi zdrową ziemio rodzinna,
Wygnaniec! idę w kraj inny, daleki,
Ma dusza tobie wieczną miłość winna,
I tę przeczystą zachowa na wieki!

Pewnego ranku, stolarz z Czarnego lasu. imieniem Wolfgang, obudził się ze wspomnieniem tej smutnej pieśni, której zwrotka „idę w kraj daleki!“ zdawała się dla niego utworzoną. Miał bowiem opuszczać kraj swój ukochany i miał się złączyć z orszakiem ubogich rodzin niemieckich, emigrujących do Ameryki. Wyjeżdżał on nie dla tego że był ubogim, ale z obawy aby nim nie zostać. Był to człowiek wielkich zdolności i więcéj miał wykształcenia i myśli, aniżeli to objawiał



błądził smutnie po cmentarzu (str. 371).

Przetarłszy oczy ze snu, powtarzał strofkę: „idę w kraj daleki“ a później powiódł oczyma po stancji swej i rozstawionych w niej skrzyniach. Mieszkanie to opustoszone, zadziwiło go w téj chwili obszernością swą, bo już tylko kilka mieściło sprzętów. Reszta sprzedaną była przez licytację i młodemu rzemieślnikowi zdawało się, jeszcze słyszeć głośne targi i wrzawy kupujących. Na posłaniu ze słomy, spoczywała żona jego i ośmioro dzieci. Najmłodsze z nich, które zaledwie miało dwa lata, położyło małą rączkę na usta matki, jak gdyby chciało stłumić skargę, westchnienie wydobyć się z nich mające, a twarzyczka dzieciny była promieniejąca.

Wszyscy spoczywali we śnie pogrążeni. Wolfgang przypomniał sobie, że sen jego był niespokojny i co chwila przerywany; myśl wyjazdu napełniała duszę jego żalem i tęsknotą. Jeżeli doznaje się smutnego wrażenia przed podróżą niedaleką, z nadzieją prędkiego powrotu, jakiemże ono być musi wtedy, kiedy się zamierza przebyć oceany, kiedy się żegna na zawsze ze wszystkiem, co się ukochało, z miejscem na którem się żyło boleścią i nadzieją, miłością i cierpieniem. Z charakterem stałym i silnym, z poglądem jasnym na wszystkie sprawy życia, Wolfgang w dniu tym był pod wpływem wrażenia i wzruszenia, którego ani pragnął, ani mógł zniszczyć.

Stracił już od lat kilku rodziców swych, a obecnie oddawał się tęsknym wspomnieniom tych ukochanych istot, których groby zostawiał za sobą. Niechcąc pozostawać teraz bezczynnym, zabrał się do wyjścia z domu w chwili, kiedy żona jego przebudzona, rzekła doń łagodnie:

— Wolfgang, oto już i ostatnia noc jaką tu przebyliśmy.

— Tak jest, odpowiedział jej rzemieślnik' ale ty moja luba, nie wstawaj jeszcze; dzisiaj potrzebujesz więcéj jak kiedykolwiek spoczynku, nie budź też dzieci naszych i bądź spokojnego umysłu. Po tych słowach zbliżył się do progu mieszkania i przy nim się zatrzymał. Skrzypnięcie drzwi w chwili kiedy się poruszały na zawiasach, zajmowało go tyle w latach dziecinnych!.. Ileż razy przez dzień sły-

szał to skrzypnięcie, kiedy rodzice wychodzili i jak na nie oczekiwał, bo zwiastować mu miało ich powrót. Przypomniał też sobie chwile, kiedy sam próbował po raz pierwszy otworzyć drzwi te, a jego dziecinne paluszki nie mogły poruszyć zasuwki. O tak! odgłos drzwi domu rodzicielskiego szczególny ma urok. Zdaje się to być dzwon tajemniczy, którego dźwięk nam tylko jest znany i budzi w duszy naszej tysiące wspomnień. A próg mieszkania! Ile to razy Wolfgang probując sił swych dziecinnych, potknął się o próg ten!... Były to dla niego wspomnienia bardzo drogie i gdyby się był wszędzie tak długo zatrzymywał, jak na tym czarownym progu, nigdyby nie ukończył przygotowań do wyjazdu. Zbiegł więc ze schodów i zbliżył się do wsi. Wszystko jeszcze spoczywało we śnie, jaskółki tylko przelatywały nad dachami, koguty piały na podwórzach, ptaszki świergotały na drzewach, a bydło odzywało się w stajniach i oborach.

Wolfgang przebiegł wioskę jak duch, który wraca niewidziany zwiedzić miejsca gdzie przebywał. Wzrok jego jednak zatrzymywał się co chwila na tym domu, który mu przypominał rozmaite wydarzenia w życiu; dnie pracy i trudu, ale też i szczęścia godziny. Przyspieszył kroku i znalazł się w środku domostw w chwili, kiedy słońce wspaniale wschodziło. Skowronki unosiły się śpiewając w powietrzu i zdawały się z radością witać blask poranku. Wolfgang machinalnie odkrył głowę i zatrzymał się zachwycony: „jak świat jest pięknym, mówił, a ile razy ludzie zapominają o jego piękności“. Nie zdawał sobie sprawy ze wzruszeń swych, ale dusza jego była zatopiona w podziwie, a świat zdawał się skupiać w jego duszy.

Skowronek przelatywał bez obawy przed oczyma jego. Bo są chwile kiedy natura cała, zdaje się łączyć z sercem, które ją obejmuje miłością i uwielbieniem. Tak myśląc i dumając, młody rzemieślnik doszedł do swego pola. Ileż razy uprawiał je, zasiewał i zbierał z niego? W obecnej chwili zbiory jego szczupłego dziedzictwa przedstawiały mu się w całém swem bogactwie. „Dzięki ci, mówił, o! dzięki ziemio ojca mego, która tyle razy dawałaś pokarm ciału memu! Bądź błogosławioną i użyczaj odtąd twych urodzajnych plonów tym, do których obecnie należysz. Bądźcie na wieki błogosławione równiny i pagórki kraju mego!“ Wziął garstkę ziemi, zawinął ją w chustkę. Chciał ją unieść w kraj inny, jako drogą pamiątkę i zsypać ją na ziemię, na której miał zamieszkać, a która miała mu być nową ojczyzną. Ach! czyliż w istocie można drugą znaleźć?.. Kiedy żal i wspomnienie smętne oraz wdzięczne uczucia, na przemian kołatały do serca jego, zwykły ruch dnia rozpoczętego przypomniał mu czas szybko ubiegający. Dzwony odzywały się na Anioł Pański, a Wolfgang pozostawał jeszcze na miejscu, wciągając w siebie powietrze, światło i cały urok tego ostatniego na ziemi rodzinnej poranku, nie mogąc dość nasycić nim serca swego i zmysłów. Zerwał z gorączkowym pośpiechem gałązkę kwiatu z lipy, zatknął ją na swym kapeluszu i szybkim krokiem wrócił do wsi, której już wszyscy mieszkańcy byli w ruchu. Zatrzymywał się z każdym kogo spotykał i zdawało mu się w chwili kiedy miał ich opuścić, że wszyscy byli jego przyjaciołmi. Wróciwszy do siebie, znalazł żonę i dzieci ubrane w suknie, które kazał poszyć dla nich na podróż do Ameryki. Chłopcy byli dumni z swych kapeluszy popielatych z wstęgami zielonemi i prosili o pozwolenie noszenia ich przez dzień cały, bo matka zapowiedziała im, że po nabożeństwie, wezmą ubranie codzienne. Córka zaś obojętnem okiem patrzyła na nową odzież, i smutną miała twarzyczkę. Wolfgang miał do nich przemowę, upominając, ażeby podczas podróży zachowały się spokojnie, były posłusznemi i nie odłączały się od matki. Ten kto postępować będzie przeciwnie mej woli i upomnieniom, rzekł, zostanie przywiązanym do masztu.“ Tymczasem dzieci układały projekta, co do pobytu swego w Ameryce. Najstarszy z chłopców zamierzał obłaskawić niedźwiedzia i zaprządz go do wózka. Jedna z córeczek projektowała mieć wielką ptaszarnię i jeździć na strusiu. Inny ze łzami uskarżał się na rodzeństwo, że mu odbiera wszystko to, co on życzył sobie posiadać. Ojciec przestrogami i uściskiem położył koniec tym dziecinnym sprzeczkom.

Zadzwoniono na mszę. Wolfgang skierował się ku kościołowi wraz z całą rodziną. Podczas przejścia, dzieci niejednokrotnie były przywoływane przez swych małych towarzyszy, ale pamiętne czynionych im napomnień, nie chciały opuszczać matki, i szły parami poważnie. a nawet dumnie, bo spostrzegły, że ściągnęły na siebie uwagę wszystkich. Nie jeden z sąsiadów patrzał na nich z politowaniem, myśląc o dalekiej podróży, jaką odbyć miały. Dzieci zaś myślały tylko o swych nowych sukniach. Przy pierwszych dźwiękach organów w kościele, Wolfgang zakrył twarz kapeluszem; dotąd nikt go nie widział płaczącym, a obecnie łzy mu twarz zalały. Duszę miał napełnioną tak żywemi wspomnieniami, wyobraźnia takie mu nasuwała obrazy, że nie zdziwiłby się bynajmniej, gdyby ujrzał przed sobą rodziców swych i wszystkich drogich sercu, a zmarłych oddawna. Co więcéj, zdawało mu się, że wszyscy powinni być niedaleko niego i podniósł głowę, aby ich wzrokiem odszukać. Proboszcz obrał za treść swego kazania *Obecność Boga na każdem miejscu*. „Myśl to (rzekł on w rozrzewniających słowach) bardzo pocieszająca, że i daleko od nas, bardzo daleko, że za morzami są ludzie, którzy mają podobne naszym uczucia. którzy myślą o nas z braterską miłością, tak jak my myślemy o nich. Jest to obraz związku jednej wielkiej ro-

dziny ludzkiej. Módlmy się za tych, którzy wkrótce znikną z naszych oczu, a pozostaną jednak złączeni jednem uczuciem wiary, pod okiem opatrznem jednego Boga. Przypomnijmy sobie święte słowa, któremi kościół przemawia do tego co się rodzi i do tego co umiera. Niechaj Bóg ci błogosławi, niech ci będzie łaskawym! niechaj zwróci ku tobie swe oblicze i da ci spokój. amen.“ Amen! powtórzyli wszyscy obecni i nie jeden głos zadrżał, szczególniej Wolfganga i jego żony. Proboszcz nie wymienił ich nazwiska, nie skierował ku nim uwagi całego zgromadzenia, pomimo to jednak wszyscy go zrozumieli. Modlili się za odjeżdżających, a serca ich przejęte były głębokiem współczuciem.

Wychodząc z kościoła Wolfgang, odesłał dzieci do domu, a sam wraz z żoną poszedł ku plebanji. ,,Ach! wyrzekła młoda kobieta, zdaje mi się, jakby to był dzień, w którym też razem zdążaliśmy do proboszcza, prosząc go, aby nas połączył na wieki.

Wolfgang potwierdził uściśnieniem ręki. Gdy zbliżyli się do księdza, młody rzemieślnik powiedział mu: „Przed wyjazdem chciałem jeszcze wejść na chwilę do domu, w którym pierwsze odebrałem nauki. Przytem dodał, że nigdy nie zapomni wzruszenia jakiego doznał w kościele i prosił o pobłażanie, jeżeliby z przyczyny wielu zajęć, nie mógł być obecnym na nabożeństwie nieszpornem. Proboszcz na prośbę jego dał mu wyciąg nazwisk wszystkich parafian i akta urodzenia dzieci jego, a gdy Wolfgang wyjmował woreczek: „Przyjacielu, rzekł czcigodny pasterz, to co chcesz mnie ofiarować, schowaj dla pierwszego z naszych ziomków, którego znajdziesz w potrzebie, a zdala od ziemi rodzinnej.

Pozwól uścisnąć rękę swą, odrzekł Wolfgang i niechaj niebo ci wynagrodzi za wszystko dobre, jakem mnie obdarzyłeś przez lat tyle, a jeżeli ujrzysz chylącym się krzyż, który oznacza mogiłę rodziców moich, bądź tak dobrym uwiadomij mnie, ja złożę tyle ile będzie potrzebnem na poprawienie jego; a kiedy ustalę się tak, jak mam nadzieję, natenczas ozdobię grób ten krzyżem żelaznym. Młoda kobieta uścisnęła także rękę pasterza, ale łzy nie dozwoliły jej wyrzec słowa. Poczciwy kapłan serdecznie ich błogosławił. Dopiero w chwili rozłączenia się z przyjaciołmi, rzekła kobieta, ocenia się ich dobroć! „Dość już tego, moja miła, odpowiedział jej na to Wolfgang, otrzyj łzy, jesteśmy blizcy wyjazdu. wracajmy do domu, jam głodny i dzieci oczekują nas.

— Do domu, szeptała biedna matka łkając, niestety! my już nie mamy domu!

Wolfgang wróciwszy, postawił na stole butelkę z winem, co było u niego szczególnym zbytkiem i podawał kieliszek swój, naprzemian każdemu z dzieci. Ich wesołość dobroczynnie wpływała na rodziców. Po południu odwiedzili ich sąsiedzi, przyjaciele i ci, którzy zakupiwszy sprzęty, przyszli je zabierać. Żona płakała na widok utraty wszystkiego, co się mieściło w tej ukochanej siedzibie. Pragnęła ona jak najspieszniej już odjechać, bo ostatnie godziny pobytu na rodzinnym zagonie, przytłaczały ją niewypowiedzianą boleścią. Wolfgang wyszedł z kilkoma znajomemi i zbliżył się ku tym, którzy w milczeniu paląc fajkę, spoczywali koło studni. „Idźmy napić się piwa, rzekł nagle jeden z wieśniaków.“ Na te słowa powstali wszyscy prowadząc z sobą młodego rzemieślnika. W kilka chwil później dowiedziano się, że stara Małgorzata zamieszkała w tej wiosce, otrzymała list od swego syna, który przed rokiem wyjechał do Ameryki. Na tę wiadomość wszyscy do Małgorzaty się udali. Ona stała przed drzwiami mieszkania, trzymając w ręku grubą kopertę, opatrzoną pięcią pieczęciami.

— Ach! otóż i Wolfgang, wykrzyknęła, on biegle czyta każde pismo; weź list ten, rzekła do niego i czytaj. Był to list od poczciwego chłopca, który drobiazgowo opisywał szczegóły odbytej podróży do Brennu; wejście na okręt, przebycie przez morze i nakoniec osiedlenie swoje w Li.... List się kończył temi słowy: „Dobrze mi tu jest bardzo, pracuję i sowitą odbieram nagrodę; przesyłam ci matko sztukę złota, i przyślę ci więcéj, abyś mogła przybyć do mnie. Widzisz, że prawdę mówią ci, którzy utrzymują, iż Niemcy są ojczyzną naszych ojców, a Ameryka ziemią naszych dzieci. Trzeba abyś się przeniosła do kraju dzieci twoich.“ Dalej pisał: „Jeżeli stolarz Wolfgang postanowił przybyć do Ameryki, niech się stara połączyć ze mną, a jeżeli doniesie mi, jakim statkiem przyjedzie, wyjdę na jego spotkanie. Dla dobrych robotników, zatrudnienia tu jest dosyć i on go będzie miał tyle, ile żądać będzie!“

Małgorzata słuchała ze łzami każdego ustępu listu, a Wolfgang był mocno wzruszony; list ten bowiem świadczył wyraźnie, że na obcej ziemi ręka przyjazna, była ku niemu wyciągniętą. Była to podług niego szczęśliwa przepowiednia, w sam dzień jego wyjazdu; wzmacniała też jego postanowienie. Potrzebował on tu silnej woli, bo doznał silnego wzruszenia, któremu się oprzeć nie mógł, gdy wszedłszy do mieszkania swego, znalazł żonę we łzach, a dzieci buntujące się przeciw woli matki, wzywającej je napróżno do spoczynku. Uspokoiwszy dzieci, tkliwemi słowy pocieszał żonę, a zrzuciwszy odzienie świąteczne, poszedł oddać ostatnią cześć cieniom rodziców na ich grobie. Lud prosty utrzymuje, że odczytując długą liczbę napisów nagrobkowych, utraca się pamięć. W tej zabobonnej myśli, mieści się i prawdziwa. Wyobraźnia kreśląc obrazy przeszłości, umysł oddany wspomnieniom istot zmarłych, traci obraz teraźniejszości i pamięć potrzeb zwyczajnego życia. Wolfgang błądził smutnie po cmentarzu, przeglądając mogiły i nagrobki

tych drogich istot, które utracił. Dzwon odezwał się na wieczorny Anioł Pański; odkrył głowę a złożywszy ręce, modlił się rzewnie.

Wróciwszy do domu przypomniał sobie słowa z listu syna Małgorzaty „Niemcy są ojczyzną ojców naszych, Ameryka ziemią naszych dzieci.“ „Tak! rzekł, ci co wzrośli w Niemczech, nie znajdą szczęścia w Ameryce, bo nie mogę oderwać myśli i serca od swego kraju rodzinnego, a w duszy ich zapanuje wieczna tęsknota; ale przynajmniej dzieci z łatwością utworzą tam sobie ojczyznę. Żegnam więc ciebie, droga ziemio ojców! bądź nam przyjazną ziemio dzieci naszych.“

Kiedy już wszystko było gotowem do podróży, obudzono dzieci, a żona roznosiła jeszcze po sąsiadach serdeczne pożegnania. Młody rzemieślnik pobiegł na wschody domu, otworzył drzwi swego pokoju i zatrzymał się, aby raz jeszcze usłyszeć ich skrzypnięcie. Już to raz ostatni, rzekł do siebie i zszedł wolnemi krokami, z głową pochyloną religijnem wzruszeniem. Złączył się z żoną i przyjaciołmi, idącemi za wozem, na którym umieścił swe dzieci, na nowo pogrążone w śnie głębokim.

W tejże chwili stróż nocny odezwał się wedle zwyczaju temi słowy: „Już zegar wybił drugą godzinę, niechaj Bóg strzeże mieszkań waszych.“ Słowa te wzbudziły w odjeżdżającym tkliwe wspomnienia chwil ubiegłych.

O wschodzie jutrzenki, gdy już byli daleko od wioski, Wolfgang przybliżył się do wozu i ujrzał na jednej ze skrzyń swych, wieniec uwity z kwiatów polnych, a złożony przez rówienników swych, w chwili odjazdu. Przycisnął go do ust swych, skropił łzą żalu i ukazawszy dzieciom, objawił życzenie, aby złożony był na grobie jego, jeżeli przyjdzie mu spocząć w obcej ziemi. Taki być winien nagrobek wychodźcy. Szczęśliwy kto wśród swoich znaleść może dość miejsca i chleba, i nie potrzebuje ich szukać zdaleka od tego zakąta ziemi, wśród którego ojcowie swe prochy złożyli. *P. F.*

PEDAGOGIKA.

O ZABAWKACH DZIECINNYCH.

II.

Potępiwszy w poprzednim artykule mnóstwo bezmyślnych przedmiotów, niby do zabawy dla dzieci, przez spekulację fabrykowanych, czujemy się w moralnem obowiązku uzupełnić naszą pracę wskazaniem tego, co do zabawy dziecinnéj uważamy za stosowne. Przedewszystkiem jednak zrobimy uwagę, iż najbłędniejszem jest mniemanie, według którego dość tylko dostarczyć dzieciom zabawek, aby się niemi bawiły. Może taka metoda chowania dzieci jest dogodną, ale najniezawodniej szkodliwą, bo przyucza te młode istotki, do tak nazwanych zbytków, a co zwykle jest wyrazem krewkości ich natury, niekierowanej wytrawnem i racjonalnem przewodnictwem. Trzeba przyjąć tę zasadę, że dzieci musimy bawić tak, jak je uczymy i pielęgnujemy. Jest to prawda, niemała praca, ale bardzo wdzięczna jak zresztą wszystko, cokolwiek łożymy około wychowania młodego pokolenia. Dzielenie zabaw z dziećmi, czy to przez matkę, czy przez niańkę lub bonę, ma tę jeszcze dobrą stronę, że wyradza między obiema stronami żywą sympatję, a nawet serdeczną szczerość. Przytem osoba starsza może kierować dziećmi w ich zabawie, podsuwać im coraz nowe takowej rozrywki użycie, a jeżeli myśl jej logiczna przewodniczy, tym sposobem może ćwiczyć władze ciała i duszy dziecięcia.

Proszę niech tylko czytelniczki nasze, bo do matek najprzód się zwracamy, nie sądzą, że proponujemy tu z pedancką sztywnością jakieś szkolne przepisy i chcemy je zastosować do niewinnych igraszek dzieci. Nie, my tylko pragnęlibyśmy. aby nie ujmując nic z żywości zabaw, uczyniono je odpowiedniejszemi celowi kształcenia.

W tym względzie należy korzystać z samych instynktów dziecięcia od pierwszych niemal chwil jego życia. Nie jest to wcale tak trudną albo niepodobną rzeczą. Doświadczeni pedagodzy niemieccy podają dość szczegółowe rady w tym względzie, a nawet wymyślili cały szereg zabawek, które podobno lepiej niż przygotowane przez fabrykantów, a wystawiane po składach zabawek, odpowiadają celowi. Szczególniejszą ma tu zasługę Froebel, któremu zawdzięczamy tak zwanych sześć podarunków dla dziecka (Les six premiers dons à l'enfant). Przebiegnijmy je kolejno. Pierwszy składa się z sześciu piłek przedstawiających kolory tęczy: czerwony, niebieski, żółty, zielony, fjołkowy i pomarańczowy. Znakomity ten pedagog doradza używać téj pierwszej zabawki, od chwili jak dzie-

ci zaczną wyciągać drobne swe rączęta, co znaczy, że zaczynają postrzegać i być czynnemi. Ale cóż? zmysły dziecięcia w tym wieku są zbyt słabe, aby je mogły uderzyć przedmiota w swej różnorodności złożonej. Dziecię nie podziwia i nie zajmuje się ani domem, ani meblami, ani go nie bawią drzewa i t. d. Ilość tych przedmiotów, jak mówi Froebel, nuży go, nudzi i wprawia w stan cierpiący, który się wyraża płaczem i niepodobieństwem zabawienia. Tym trudnościom zaradza pierwsza zabawka Froebla, a to dla tego że w miejsce przedmiotów złożonych, przedstawia zmysłom dziecięcia przedmiota proste, jemu dostępne. Pierwszą więc z sześciu piłek zawiesza się przed kolebką, (a lepiej gdy nie używa się kolebki ale łóżeczka) dziecięcia i po niejakim czasie zastępuje się ją drugą i trzecią a to w celu utrwalenia w dziecku poznania kształtu i koloru. Tym sposobem zajmuje się jego zmysł widzenia. Naturalnie piłka nie spoczywa, ale poruszaną jest w rozmaitych kierunkach, a ruchy te objaśnia niańka śpiewem, np, piłka leci prosto, piłka leci w górę itd. Następnie, kiedy dziecina jest już nieco starsza i ma pewną władzę w rączkach, piłka odrzuca się ku dziecku, które ją odtrąca znowu, albo też piłkę rzuca się w rączki jego, lub układa piłki w okrąg, a wszystko jak zawsze przy zabawkach Froeblowskich, objaśnia ktoś śpiewem np. piłka biegnie do ciebie. od ciebie do mnie, otwórz rączki dostaniesz piłkę itd. Gdy dziecię nauczy się już wykonywać lub być posłusznem, z piłką czerwoną, toż samo trzeba robić z piłką niebieską i innemi, bacząc żeby dobrze przywykło do rozróżniania kolorów, w tym także celu układa się z piłek szereg do cieniów.

Pierwszy podarunek Froebla kształci wzrok, a gra piłkowa wyrabia siłę w muskułach rączek. Wspomniemy iż piłka zawsze musi być umocowana na sznurku, aby jej biegi nie sprawiały zamieszania lub szkody w pokoju, na wolnem powietrzu dozwala się więcéj swobody. Tym sposobem zabawia się dzieci do lat dziesięciu zawsze z pożytecznym skutkiem. Ale możeby to nie wystarczyło, albo też możeby kto zarzucił téj grze o sześciu piłkach zbytek sedenterji. Są więc i inne, na zmianę, igraszki. W ogrodzie niech dzieci ile możności bawią się w gry ruchowe np. w tak zwany gołębnik. W tym celu pewna liczba dzieci zbiera się w koło, w które wchodzą najmłodsze. Następnie pozostałe w kole wybiegają, naśladując ruch skrzydeł czyli polot ptaka, aby tym sposobem ramiona i łopatki mogły być wzmocnione. Kiedy tak dzieci pobiegają chwil parę, zwołuje się ich do koła, do którego wchodząc, opowiadają co widziały w przelocie. Inną razą każde z dzieci wchodzi do koła i koleją wykonywa pewien ruch albo jaką pozycję, w której nabywa się wprawy w ćwiczeniach muskularnych. Szczególny i bardzo ulubiony od dzieci rodzaj zabawy stanowią tak zwane naśladownictwa robót rzemiosłowych. Jedni siedzą i machają rączkami jakby szyli, inni poruszają niemi, niby to heblując, kując, przyczem ciągle idzie śpiew łagodny na pół głośny opiewający przedmiot roboty. Froebel zarządzając sławnemi swemi ogrodami ułożył mnóstwo dwu, cztero i sześcio wierszowych piosneczek tego rodzaju wybornie trafiających do przekonania i pamięci dzieci, od 6 do 10 lat wieku mających. Jeżeli idzie o zatrudnienie dzieci spokojniejszą znowu zabawą, używa się do tego tabliczek naklejonych rysunkami kolorowanemi gwiazd, domów i t. d. w kilka kolorów. Barwom tym odpowiadają albo fasolki tak samo kolorowane, albo kamyki, albo drewienka. Otóż dzieci zawsze pod przewodnictwem starszego, rysunki te wykładają fasolką lub kamykami, dobierając barw odpowiednich tym, jakie są na wzorach.

Dobre są także drewienka kwadratowe, oklejone rozmaitemi częściami rysunku, ale stanowią one dopiero drugą serję zabawek, jako już trudniejsze znacznie.

Dotkniemy tu jeszcze jednej kwestji a mianowicie owych trąbek, bębenków itp. instrumentów wrzaskliwych, któremi zwykle rodzice obdarzają swe dzieci ku wielkiemu strapieniu domowników. Z tego cośmy już powiedzieli, widzimy, iż spiew czyli dźwięki, stawiamy w szeregu nader ważnych zabaw kształcących. Przypuszczamy nawet, iż gra prostych melodji na fisharmonice lub fortepianie, może mieć wyborny skutek zajęcia i kształcenia zmysłu słuchu, ale bębnienie i fałszywe trąbienie przyczynia się tylko do zaszczepienia niesforności muzykalnych.

Drugi dar Froebla składa się z trzech bryłek: sześcianu, walca i laski wyrobionych z drzewa. Całem zadaniem tych przedmiotów jest, dać poznać kształty zasadnicze, dla tego dzieci bawiąc się niemi zawsze objaśniają śpiewem: Oto jest kula, obracaj ją jak chcesz zawsze będzie okrągłą i t. d. Może nam zarzucą iż dzieci tych śpiewek nie zrozumieją. Prawda, powiemy nawet, że rozumieć ich nie mogą, nie powinny, bo tu idzie o to tylko, aby się nauczyły rozróżniać kształty w praktyce. A toczące kulę i nazywając ją po imieniu, wałkując wałkiem lub przewracając z boku na bok sześcian, mimowiednie téj znajomości nabędą. Zresztą drugi podarunek jest tylko przejściem do trzeciego, który się składa z sześcianu na ośm podobnych sześcianów podzielonego. Przewodnicząca osoba w zabawie dzieci, pokazuje im ten podział, a dzieci naśladują go śpiewając np. w całości cały, rozcięty na dwie połowy, na dwie ćwiartki, osemki itd. Dzieci wykonywając to, wyglądają nieco jak papużki, ale uczą się podziału, który jest podstawą cyfrowej nauki. Później przechodzą dzieci do budowania całości z drobniejszych sześcianów, a to według wzorów im podanych. Gdy już to umieją, wolno im budować takie kształty,

jakie chcą, a jak wiadomo z ośmiu sześcianów ułożyć można przeszło 300 figur dość regularnych. Następne trzy dary Froebla są tymże samym sześcianem, tylko w różnych kierunkach dzielonym, a zawsze tak, iż z części dają się ułożyć najprzeróżniejsze figury, naśladujące przedmioty naturalne, linijnych kształtów. Wtrąciemy tu nawiasem, iż i w wielu naszych sklepach podobne pudełka z rycinami litografowanemi są sprzedawane, ale niestety! żadnej z nich dzieci w zabawie, nie odnoszą korzyści. Bo naprzód nie zaczyna się tam od kształtów najprostszych stopniując do złożonych, ale od tych ostatnich, powtóre, nikt nad dziećmi nie czuwa, nikt z cierpliwością ich nie zachęca, nie prostuje uchybień. Zabawa więc wydaje się za trudną i za nudną. Nie podobna nam przebiegać wszystkich zabawek, które genialny pedagog Froebel wynalazł, na użytek swych ogrodów dziecinnych. Odsyłamy ciekawych czytelników do prac specjalnych. o tej metodzie traktujących, jakich nie braknie w języku niemieckim. My zaś przechodzimy do innych zabawek, mianowicie dla dzieci już doroślejszych, po latach dziesięciu. Zdawałoby się, iż w tym wieku zabawka powinnaby ustać, gdyż dziecko rozpoczyna perjod wychowania naukowego. Lecz zdaniem naszem, prawdziwa zabawa, w chwilach wolnych od pracy nigdy nie powinna ustawać. Tylko jej przédmiota mogą się zmieniać. Tak samo i w tym wypadku. Dla dzieci po latach dziesięciu trzeba urządzać dwojakiego rodzaju zabawy, mające na celu przez ruch, rozwijanie sił cielesnych i przez kształcenie zdolności, rozwijanie sił umysłowych, a raczej praktyczne przygotowanie do nauk. Co do pierwszego, rozwinięte zasady gimnastyki dostatecznie pouczają kierunku w jakim iść należy. Powiemy, że dziś gimnastyka musi być na szerokie rozmiary zastosowaną w wychowaniu młodzieży, jeżeli przyszłe pokolenie ma się wyleczyć z tych fizycznych skażeń i skarłowacenia, jakiego nabyło gorączkowem życiem, w ciągu kilku ostatnich wieków.

Drugi oddział zajmują zabawki naukowe, w których urządzeniu brać udział powinni starsi. Są one pierwszemi praktycznemi zasadami nauk i dla tego też z każdej nauki, dadzą się one na użytek dzieci wyłuszczyć. Weźmy np. geografję, to wszystkie pierwotne kształty gruntu, wszystkie rodzaje wód dadzą się uzmysłowić dzieciom. Trochę gliny i piasku, parę kamieni, płytki cebrzyk z wodą, wystarczą na wykonanie dzieła, przy dobrej woli przewodniczącego zabawie. Dzieci lubią się nawet bawić gliną i piaskiem, a wnet powstanie morze, na niem wzniosą się lądy, wyspy spiętrzone górami, pooddzielane międzymorzami, poszarpane w półwyspy, przylądki itd. Zgrabniejsi uczniowie ustrugają sobie krypki maleńkie, spławiać będą niemi towary, które rozdzielić można odpowiednio do części lądów i krai. Tym sposobem, zabawką, mimowiednie przygotuje się podwalina przyszłej nauce. Toż samo i z innemi umiejętnościami, chemją, fizyką, historją naturalną. W ostatnich numerach Przyjaciela dzieci podano znaczną ilość zabawek tego rodzaju, które niewątpliwie chłopców dwunasto i piętnastoletnich zająć mogą niemało. Innych jeszcze znajdzie się dosyć, trzeba tylko umieć i chcieć poszukać. A te zabawki naukowe mają to do siebie, że są wszystkie tanie, gdy dziś proste cacko w galanteryjnym sklepie, zaledwo kilkoma rublami opłacić można. Wspomniemy także, iż hodowanie drobnych zwierząt, jak ptaków, królików, wiewiórek, jedwabników, powinno być równie zaleconem, jako zabawka dziecinna. Należy tylko zważać, aby dzieci nie zadawały tym stworzeniom męczarni, ale aby się niemi zajmowały jako bóstwa opiekuńcze, dobroczynne. Słusznie powiada Humboldt, iż nic tak nie uczy jak natura, którą, siłą swej dobroci podbijamy.

Nim skończym nasz przedmiot, jeszcze jedna kwestja. Zkąd wziąć przewodników i przewodniczek do zabaw dziecinnych, a przytem jakby to zrobić, aby każda familja ze światła tych przewodników korzystać mogła? Odpowiemy na to, iż jedyną drogą byłoby założenie ogrodów Froeblowskich, gdzieby się kształciły niańki i bony. Co zaś do drugiej części pytania, należałoby w każdym domu urządzić ogólną salę dziecinną, pod nadzorem jednej takiej bony, a przynajmniej jedną salę i jeden ogródek letni na kilka domów. Zdaje się, że byłoby to taniej i praktyczniej, niż trzymanie służby osobnej. Lecz o tem pomówimy już inną razą. *A. Wiślicki.*

LOSY FORTUNY RADZIWIŁŁOWSKIEJ. do roku 1804. p. Mik. Malinowskiego.

(Dokończenie).

Tocząca się sprawa w sądzie komissji Radziwiłłowskiéj wyjaśni, jakie krzywdy zadał książe Michał majątkowi swego pupilla, ale nie wyrówna temu moralnemu okrucieństwu którego doznał od niego w swojem sieroctwie. Księżna Zofja Radziwiłłowa nie przewidywała wielkości błędu, który popełniła wychodząc za Kazanowskiego, nie widziała, iż tym postępkiem podała oręż księciu Michałowi na własną zgubę. Książe Maciej, któremu ufała

nie był w stanie zasłonić jéj przeciwko zawziętości nowego opiekuna; starał się wprawdzie wyjednaniem u Stanisława Augusta wstęgi dla jéj małżonka, podnieść jego znaczenie osobiste; uprosił posła rossyjskiego, aby powagą swoją skłonił króla, do nadania mu dostojności dygnitarskiéj w W. K. L., wszakże to wszystko nie zdołało zagładzić téj niechęci, jaką ponowione związki księżnéj Radziwiłłowéj sprawiły w gronie jéj własnéj rodziny. Zbliżała się chwila; w któréj książe Michał na mocy praw opiekunowi służących, powinien był odebrać od matki pupilla, lecz ta gotowa była rozstać się raczéj z życiem, niż z dziecięciem, bo nic nie mogło w niéj zniszczyć przekonania, że już go nigdy oglądać nie będzie. Nastąpił wkrótce rozbiór Polski, Zabłudów przeszedł pod rządy pruskie; następca tronu, król późniejszy (a), zaślubiony z księżniczką Meklemburgską, któréj siostrę miał za sobą, Karol Aleksander książe de la Tour et Taxis, rodzony brat księżny Zofji Radziwiłłowéj, zaszczycił ją swoją opieką i nie dozwolił księciu Michałowi rozciągnąć władzy nad osobą jéj syna. Zabezpieczoną została z téj strony, lecz nie mogła długo przebywać w prowincjach do monarchji pruskiéj przyłączonych, ponieważ właśni jéj wierzyciele, nie otrzymując wypłaty swoich należności, zagarnęli dobra, które dotąd były jedyném źródłem utrzymania życia. Wyniosła się więc do Białéj zostającéj wówczas pod berłem austryjackiém, chciała korzystać z dobrodziejstwa praw które w tym kraju najbliższą opiekę nad nieletniem potomstwem matce zaręczają, chciała położyć tamę szkodliwym działaniom księcia Michała, na fortunę jéj syna, zaciągającego znaczne summy, końcem spłacenia długów imieniem ks. Karola ubarwionych, odwołując się więc do rezygnacji w Manhejmie 1773 r. na rzecz zeszłego jéj małżonka sporządzonéj, wszystkie czynności warunkom pomienionego aktu przeciwne, sądownie zaskarżyła, manifestem 1796 r. Obrażony tym postępkiem książe Michał, nie przestawał się dopraszać, aby osoba księcia Dominika wydaną mu została. Jakoż niejednokrotnie dopominano się o to u księżnéj Zofji. Ale nic nie mogło skłonić jéj do rozłączenia się z synem; głuchą była na wszystkie przełożenia bezstronnych osób, na rady nawet najszczerszych przyjaciół.

Straciwszy więc księżna Zofja ostatnią nadzieję, udała się do Lwowa w zamiarze pozyskania jakiego zasiłku z dóbr księcia Dominika leżących w Galicji; obrazem nieszczęść swoich wzruszyła serce ojca, księcia Karola Anzelma de la Tour et Taxis, którego własne posiadłości zagarnięte wówczas przez wojska rewolucyjne francuzkie, postawiły nad przepaścią zguby i nie dozwalały podać ręki córce. Przemawiał za nią i wnukiem swoim do dworu austryjackiego, przekładał, iż dobra Radziwiłłowskie w Galicji położone, były nie dzielne, że część ks. Hieronima tylko długom przodków lub jego własnym ulegać mogła, że zatem zagarnięcie tych dobr za długi ks. Karola było zupełnie nieprawne. Cesarz Franciszek uznał księżnę Zofję za opiekunkę i przydał jéj do pomocy hr. Ig. Miączyńskiego, który gorliwie zajmując się losem swego pupilla, udał się natychmiast do Wiednia, odkrył przed panującym wszystkie niegodziwości, jakich się dopuszczano we frymarku téj fortuny, okazał to dowodnie na hr. Starzyńskim, iż Cesarz przez własnoręczną rezolucję, osądził go za intruza, rozkazał zdać rachunek z dóbr przywłaszczonych i ze wszystkiemi nabywcami rzecz do piérwszego stanu powrócić. Nie zaniedbali ze swéj strony nabywcy ruszyć wszelkich sprężyn do cofnienia téj woli cesarskiéj, skłonili za sobą zdanie ministra sprawiedliwości, który wyjednał jéj zawieszenie do czasu powzięcia dokładniejszych objaśnień. Wysłany został dla wejrzenia w miejscowy stan rzeczy, hrabia Kazimierz Dejm, dawniejszy prezydent sądu najwyższego we Lwowie, który sam nabywał i przedawał dobra Radziwiłłowskie, miał zatém główną pobudkę w najgorszém świetle interes małoletniego wystawić. Odtąd już nie tylko że wszystkie rezolucje dworu były nieprzychylne, ale hr. Dejm dla tém skuteczniejszego dopięcia swojego zamiaru, przybrał na siebie obowiązek dozorcy życia domowego księżnéj Zofji i wychowania jéj syna, przełożył dworowi, iż koniecznie należało wyznaczyć mu nauczyciela niezawisłego od woli matki i otrzymał prawo mianowania na to miejsce professora Haselmajera, człowieka, na którym zupełnie mógł polegać.

Książe Michał Radziwiłł ze swojéj strony nie przestawał domagać się powrócenia sobie małotniego.

Księżna Zofja bezskutecznie wzywając litości obydwóch dworów cesarskich, z niskąd nie mając pomocy, przyszła do ostatniego ubóstwa. Dochody dóbr Zabłudowskich zajętych w administrację pupilarną zaledwie wystarczały na stopniowe opłacanie długów; majątki galicyjskie pozostały w ręku przywłaszczycieli, z litewskich, opiekun najmniejszego zasiłku nie dawał, książe de la Tour et Taxis wygnany z swojego kraju przez francuzów, zagrożony nędzą, żadnego wsparcia córce przynieść nie mógł, a tak dziedziczka udzielnego w Rzeszy niemieckiéj domu i potomek tylu przemożnych książąt, pozbawieni nieodbitych potrzeb, przymuszeni byli udawać się do miłosierdzia obcych sobie ludzi. Niedługo już w tym nieszczęśliwym stanie żyła księżna Zofja, bo nie mogła przenieść srogości losu; złożona chorobą, bez rady lekarskiéj, bez opatrzenia, wyglądała śmierci jak dobrodziejstwa które miało położyć koniec jéj cierpieniom. Na krótki czas przed zgonem znalazła przytułek w dobrach arcybiskupa hr. Kickiego, ale ani starania przyjaźni, ani widok dni po-

(a) Fryderyk-Wilhelm III, zmarły w r. 1840. *P. R.*

myślniejszych za dojściem do lat syna, już nie zdołały utrzymać gasnącego jéj życia. Książe Dominik utracił matkę na początku 1800 r. mając dopiéro lat 14. Skoro doniesiono o tém księciu Michałowi, pośpieszył natychmiast do Lwowa w zamiarze objęcia opieki nad jego osobą, ale nic nie mogło pokonać tego wstrętu jakim serce księcia Dominika przejęte było ku niemu. Od chwili jak pojmować zaczął, przywykł go był uważać za główną sprężynę swoich nieszczęść; brzmiało jeszcze w jego duszy świeże wołanie o pomstę do nieba umierającéj matki, zaklinał więc miejscowych opiekunów hr. Miączyńskiego i prezesa Kulczyckieggo, aby go nie wydawali w ręce człowieka, którym brzydził się i lękał jak mordercy.

Książe Adam Czartoryski mieszkający w Galicji otworzył dom swój dla księcia Dominika, oświadczył gotowość czuwania nad jego osobą i przyrzekł pod swojem okiem kazać dokończyć jego wychowania. Nie tajne było temu panu uczestnictwo jego stryja księcia kanclerza, w nieszczęściach Radziwiłłowskiego domu. Dopóki żyła matka księcia Dominika, przyzwoitość nie pozwalała mu mieszać się w zatargi, jakie ją różniły z ks. Michałem, tém bardziéj że młodszy syn jego książe Konstanty Czartoryski, był zięciem ks. Michała, lecz gdy spółcześnie zgon księżny Zofji i księżny Heleny Czartoryskiéj, usunął wszelką przeszkodę z téj strony, wnet zajął się losem osieroconego książęcia Dominika i wyjednał rozkaz dworu austryjackiego, mocą którego opieka nad jego osobą poruczoną mu została. Nieszczęścia, które miotały życiem księżny Zofji, częsty niedostatek, ustawiczne zmiany pobytu sprawiły, iż edukacja jego niezmiernie była zaniedbaną. Matka chciała mu wynadgrodzić pobłażaniem i pieszczotami doznawane cierpienia, przyzwyczajała go mimowolnie do zniewieściałości; obok najlepszego serca najzacniejszych uniesień duszy, nie miał ani tęgości w charakterze, ani ochoty do pracy, ani wytrwałości w przedsięwzięciach. Przy takiém usposobieniu wewnętrzném nie wiele mógł skorzystać z nauk dawanych mu przez uczonego Ernesta Gotfr., Groddcka i innych nauczycieli. Z dzieciństwa ukrywany przez matkę, tak nawykł do osobności, iż go każde liczniejsze zgromadzenie trwożyło; nawet w Puławach, gdzie najznakomitsze osoby kraju z zasług, światła i urodzenia, codzienne prawie składały towarzystwo, nie mógł zupełnie wyzuć się z téj wady, którą na całe życie zachował. Książe Michał nie przestawał nalegać, aby małoletni powrócił do Litwy. Uwiadomiony o wszystkiém książe Karol de la Tour et Taxis, udał się z prośbą do Cesarza Aleksandra I, aby wnuk jego mógł spokojnie kończyć edukację w domu księcia Czartoryskiego, na co otrzymał zezwolenie, w skutek którego książe Dominik został w Puławach aż do r. 1804.

Wiadomości Literackie.

Ruch literacki był bardzo słaby w roku bieżącym; nawet pisma perjodyczne z taką szybkością mnożące się w r. 1865, że jedni to brali za najpomyślniejszy objaw umysłowego życia, drudzy za źle obmyślaną, bo na jeden i tenże sam punkt zwróconą spekulację, nawet niektóre z tych pism, nie przetrwały tego ciężkiego obojętności roku i pomarły. Widzieliśmy tedy zgon *Gazety muzycznej*, *Rodziny*, *Bazaru*, *Pamiętnik naukowy* już gasnący, nowe na teraz, pod odmienną redakcją usiłuje przybrać życie, *Goniec*, z przyczyny śmierci redaktora zawieszony. Książek wydano bardzo mało i te po większej części, albo są odbitkami z pism perjodycznych, jak np. Przygody księcia Marcina Lubomirskiego, pr. Wł. Chomętowskiego, drukowane w naszem piśmie, albo nadeszły ze Lwowa lub Poznania. Pan Trepka, *Studja ekenomiczne*, drukował swoim nakładem, tak u nas o nakładców na dzieła poważniejsze trudno.

Dzieje wieków średnich, napisane przez p. Duruy, dzisiejszego ministra oświecenia we Francji, spolszczył p. Leon Rogalski, *Historję filozofji* Cousin'a, p. Michał Gliszczyński. Do najświeższych wydań, znajdujących się po naszych księgarniach należą: *Olim* (Niegdyś) powieść zmarłego w zeszłym miesiącu Fryderyka hr. Skarbka. *Duchownicy i tajemnice ich nauki*, poczerpnięte z procesu dr. Horsta, przez Wincentego Korotyńskiego, *Dalecy krewni*, powieść Turskiego, *Poświęcenie*, komedja napisana wierszem, przez Chęcińskiego, *Niebezpieczny człowiek* i *Verbum nobile*, dwie komedje Łozińskiego, wydane przez Wilda we Lwowie. *Gawędy o literaturze i sztuce* Kraszewskiego, wydanie wznowione lecz tańsze. Tegoż autora, *Kartki z podróży*, znane nam już z odcinku gazety Polskiéj, są dziś w handlu, w ozdobném wydaniu za rubli sr. 9. *Przed laty*, powieść ukraińska Stachurskiego. *Odczyty popularne z nauk przyrodniczych i ekonomji społecznej*, *miane we Lwowie za staraniem stowarzyszenia wzajemnej pomocy samodzielnych rękodzielników*, są w Warszawie w handlu księgarskim, jak również Kiszew

skiego: *Czytelnia* czyli *zbiór rozmaitych powieści*, *podań*, *klechd*, *legend* i t. d., napisane dla ludu, dosadnie, ale ze zdrowym na rzeczy poglądem i w sposób mogący zająć czytelników. Tenże sam autor wydał dawniej *Naukę o ziemi i świecie*, która to książka okazała się bardzo pożyteczną przy nauczaniu.

Dla młodych czytelników wydawany jest ciągle *Przyjaciel dzieci*, które to wydawnictwo wyznać trzeba, niejest tak, jakby należało, poparte przez publiczność i z przyczyny nie wielkiej liczby prenumeratorów zaledwie koszta się pokrywają, lubo redakcja nie szczędzi starań. Pan Sennewald wydał ozdobną książkę dla młodego wieku, złożoną z dwóch powieści przepolszczonych z angielskiego, przez Sewerynę z Z. D. Pani Ścisłowska drukuje powtórną edycję swych: *Przejażdżek.*

URZECZONY.



I parobcy i dziewczęta,
Powiadają żem ja chwat!
Łepski do pracy, a w święta
Podkówkami krzeszę rad.
A tatulo i matula
Mówią: żem poczciwy syn.
Czemuż sąsiadka Urszula
Widzi we mnie krocie win?
Żem niemowny, żem jest płochy,
A nieradny! że aż strach.
Statku nie mam ani trochy....
Więc mówi, ladaco Stach.
Ja niemowny? Z nią nie gadam
Bo parobcy z całéj wsi,
Piotrek, Jędruś, Walek, Adam,
Różne dziwy prawią jej.
Jam niestatek? gdy Urszula
Z każdym w śmiechy, z każdym w tan,
Więc i Stach z drugiemi hula.
I prosi na miodu dzban.
Ja nieradny... ciężka rada
Kiedy serce pali żar!
Gdy ci wiedźma coś tak zada
Iż cię zewsząd ściga czar.
Chyba pójdę, klęknę przy niej,
I uproszę w zbożny czas.
Że ksiądz urok ten odczyni
Kiedy stułą zwiąże nas.

J. Janiszewska.

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

Zaraz po przegranéj Jabłonowski z żoną wyjechał do Nieświeża w odwiedziny i na radę familijną (2 Września 1741 r., *Kurjer Polski*, nr. 249). Ale w Wilnie wygrali dopiero Sapiehowie sprawę in accessorio, to jest w zasadzie. Uznał trybunał prawo księdza koadjutora do dóbr drujskich na Rusi, których nie było opisów starszego generałowicza Aleksandra, nakazał w ciągu kilku tygodni mu wydać. Przegrał tylko Sołłohub, bo nie udało się mu wyrobić odbioru Rakanciszek i Wieży. Ponieważ nie można się było spodziewać po matce, że wyda syna dobrowolnie, zostawili Sapiehowie w Wilnie Ignacego Łopacińskiego, żeby czuwał i jak go kiedy przywiozą, wydarł na mocy prawnego wyroku. Próżne oczekiwania! Ło-

paciński musiał więc do grodu zaciągnąć manifest przeciwko obojgu Jabłonowskim. Tak wszystko zapowiadało, że rozprawa dalej się pociągnie na kadencji mińskiéj.

Gdy zawczasu trzeba było się bronić, więc na trybunał skarbowy, który zaraz po tej kadencji wileńskiej nastąpił, przybył sam wielmożny hetman, książę Wiśniowiecki, zapobiegać wpływem swoim, żeby przynajmniej od Sapiehów ocalić inne dobra na Rusi, oczywiście pani starościny buskiej. Skrupiło się tą razą na jednym z deputatów sapieżyńskich, Odachowskim, z Wiłkomyskiego; żeby go zgubić, stara panna Kryspinówna, kasztelanka trocka, wydała mu process o to, że dobra jej Wiłkowyskie bezprawnie obłożył czopowem. Zyskała kondemnatę na niego i na drugiego deputata ze Żmudzi, żeby ich prawnie pozbawić głosu.

Tymczasem nie zasypiał sprawy i ks. koadjutor i pisarza grodzkiego brzeskiego, Marcina Matuszewicza, posłał na zajęcie do Drui, żeby już z faktem dokonanym wystąpić na kadencji mińskiej, na której spodziewał się większej jeszcze forsy. Nie miał powozu swojego pan pisarz, więc zawsze panom dostojny, chociaż słaby, piętnaście mil konno przecwałował do którejś wioski księdza koadjutora, w której spodziewał się znaleść konie i bryczkę; zastał tam na szczęście Łopacińskiego i ruszył dalej w jego karecie, Druję łatwo opanował, ale z wysilenia zapadł obłożnie i długo się leczył.

Hetman Rybeńko obiecał dla siostry wojskową assystencję do Mińska, toż inni Radziwiłłowie. Więc czas nadszedł otwarcia trybunału, pojechał nietylko hetman, ale i wojewoda nowogrodzki Mikołaj Radziwiłł z synami Jerzym i Stanisławem, poprowadzili i nadwornych ludzi. Osobno państwo Jabłonowscy spory orszak z sobą przywiedli do Mińska. Sapiehowie nie dali się również uprzedzić, przyjechali z liczną kalwakatą, a trzech ich było, ksiądz koadjutor, łowczy litewski i Jerzy starosta wilkowski, nadto co większa, potrafili za sobą ściągnąć nierównie liczniejsze grono panów, bo prócz Massalskiego trzymali ich stronę obecnością swoją w Mińsku dwaj Sołłohubowie syn i ojciec, podskarbi i starosta jezierzyski; dalej Ignacy Ogiński, obożny wielki lit.; Aleksander Pociej, kasztelan trocki; Chodkiewicz, wojewoda brzeski i Przeździecki, pisarz litewski.

Wypadek tą razą pokazał się odmienny; w Wilnie z początku była silniejszą strona sapieżyńska, w Mińsku radziwiłłowska, jak to jawnie przestrzegał księdza koadjutora wojewoda marszałek. Sama Kryszpinówna oddaliła dwóch deputatów. Więc tam przyjaciele starościny, tutaj sapieżyńscy umieli się wziąść na sposób. Otoczyli dobrze uzbrojoną służbę swoją dworzanami i przyjaciołmi, którzy się ciągle luzowali przy drzwiach izby trybunalskiej, gotowi na wszelki wypadek i z zamiarem wpaść do koła natychmiast na pierwsze hasło dzwonka marszałkowskiego; Massalski albowiem obiecał im, że w ten sposób da znać, jeżeli będzie sprawie jakie groziło niebezpieczeństwo. Pozajmowali wszystkie drzwi i okna tak dalece, że deputaci radziwiłłowscy w izbie zupełnie byli odcięci od swoich kierowników i sami sobie zostawieni, nie wiedzieli jak się mają szukać. Massalski w istocie dał dowód wielkiego poświęcenia się dla przyjaciół, bo w tak zamkniętéj izbie siedział trzy dni i trzy nocy, nie dając turnu, to jest nie pozwalając na głosowanie, bo nie był pewny większości. Na mieście rozpowiadano, że deputaci zmawiali się na marszałka i że chcieli nacierać na niego. Trzeciego dnia, czy na zwiady, czy żeby skończyć raz tę zabawną scenę, Zyzemski kniaź, wojski miński, szwagier księcia wojewody nowogrodzkiego Radziwiłła, nie deputat, przedzierał się do izby, powiadając, że ma jakąś sprawę do pana Bykowskiego, marszałka skarbowego. Nie wierzyli temu i tak łatwo deputaci, którzy się nawzajem jedni drugich pilnowali; żądali więc po Zyzemskim, żeby na głos sprawę swoją opowiedział. Na to wojski wsunąwszy głowę we drzwi, począł coś szeptać Bykowskiemu do ucha. Było to niby przekoczenie umowy, więc Ignacy Łopaciński złapał otwarcie za jedno ramię, Mikulski wojski słomiński za drugie, i nie chcieli mu pozwolić rozmowy; kniaź się szarpnął, ale tak nieszczęśliwie i w takich był kleszczach, że rozdarli na nim napastnicy kontusz przez całe plecy. Z tego wywiązała się kłótnia, hałas, i skoczył najprzód Zadarnowski, marszałek łowczego Sapiehy i porwał kniazia za kark i najwięcéj się szamotał. Dowiedziawszy się o tem zajściu, książę wojewoda nowogrodzki, wziąwszy moc dworzan i pół warty leciał na pomoc szwagrowi. W izbie zas deputaci radziwiłłowscy porwali się do szabel na marszałka, który według umowy zadzwonił i ściągnął tem samem sapieżyńskich ludzi do koła z dobytemi również szablami. Skończyło się tą razą na postrachu bez rozlewu krwi i kiedy książę wojewoda przyszedł, spotkał Żyżemskiego już na dole; szedł kniaź z pierwszego piętra i starał się pohamować zapał radziwiłłowski, tłumacząc się, że żadnej nie doznał krzywdy. Żyzemski tą razą dyplomatyzował i bał się sprawiedliwie jakiejś ostateczności, bo gdyby Radziwiłła nie uspokoił i nie powstrzymał natarcia, byłaby niezawodnie krew popłynęła, i na Radziwiłłach skrupiło, gdyż sapieżyńskich deputatów było w izbie 30, a każdy miał po dwa pistolety ukryte; zresztą przybiegła by im także pomoc. Nadwornej milicji panów brak było wtedy w Mińsku i ztąd wisiały groźby wojny domowej nad Litwą; wszyscy byli pod wpływem tego przestrachu.

Wołali tedy jedni na marszałka o głosy, żeby sądzić tę nową sprawę, drudzy tamo-

wali dowodząc, że zajście z Zyzemskim nie zasługuje na uwagę. Dwa razy do boju przychodziło i zdawało się, że w izbie rozpocznie się wojna domowa. Marszałek w ostateczności zadzwonił dla stron na ustęp; wpadła tedy straż sapieżyńska odedrzwi. Wypadek nieszczęśliwy przymnożył zamieszania. Sołłohub, koniuszy oszmiański, nie widział jak temblaczek od szabli stojącego obok szlachcica Zakrzewskiego zaczepił się o jego szablę i kiedy pierwszy w zapale posunął się do stołu, Zakrzewskiemu z pochew wydobyła się szabla. Ci co z tyłu to zobaczyli, nie wiedzieli, że prosty wypadek był tu przyczyną i nic naturalniejszego, że widzieli w tem początek bitwy i dobywszy swoich szabel, wpadli w sam środek izby. Uśmierzył się rychło ten zapał, skoro zobaczyli spokojnych deputatów, zasiadających jak wprzódy na swoich miejscach, jeden tylko radziwiłłowski stanął w oknie i wołał o pomoc. Głos jego rozlegał się jak w pustyni i wszyscy pochowali szable. Pomiarkowawszy się wtedy strony, że sprawa twardo idzie, zgodziły się nagle na sąd polubowny i wyznaczyły arbitrów, to jest sędziów, superarbitrem zaś stanął Adam Tadeusz Chodkiewicz, wojewoda brzeski, rodzony siostrzeniec kanclerza Sapiehy. Wyrok sądu polubownego miał iść pod zatwierdzenie trybunału.

W Wilnie odbywały się narady i tam spisywano punkta zdala od trybunału, żeby w niczem sądom nie przeszkadzać. Arbitrami byli: Tyzenhaus, starosta wiłkomirski, Oskierko, mozyrski, Żaba starodubowski, starostowie i skarbny lit. Ważyński. Uradzono powtórnie, że starszego syna starostę puńskiego odda natychmiast matka koadjutorowi; co do młodszych zaś dzieci, te przy niéj zostaną, córka aż do za mąż pójścia, a syn aż do lat siedmiu życia, poczem także stryj nad nim weźmie opiekę. Staroście puńskiemu pozwoli koadjutor bywać czasem u matki, której służy prawo utrzymywania swojego dworzanina ciągle przy synu. Dóbr sapieżyńskich zrzekła się pani Jabłonowska: Wysokiego, Kocka i Siemiatycz, tudzież starostwa puńskiego; stryjowie mieli trzymać to wszystko aż do pełnoletności synowca. Za to pozostała przy starostwach i posagu z sowitością, to jest przyznano jej 400,000 gotówki i jeszcze obiecali Sapiehowie że oddadzą jej 100,000 z summy zapisanej od pierwszego męża, jako dług prosty. Srebra i ruchomości, oprócz orderu, przy niej również zostały dożywociem. Kock oddano jej w dwunastu tysiącach z owej półmilionowej summy. Resztę pokryć miały te sapieżyńskie wierzytelności, jakie generał posiadał na starostwach, bo wszystko dawało przyzwoitą pewność jako obwarowane konstytucjami. Koadjutor przejął na siebie wszystkie ciężary.

Tę ugodę spisano w Wilnie w Sobotę (3go Grudnia 1741 r.) Nadchodził dzień św. Mikołaja, więc na cześć imienin księcia wojewody nowogrodzkiego Radziwiłła i na dowód radości z pomyślnie zakończonej sprawy, wyprawił książę *Rybeńko*, hetman, bal w Wilnie dla licznych gości. (Szczegóły o tej sprawie w Kurjerze Polskim, nr. 263—264—265, w tym ostatnim numerze nieco inaczej wypadają cyfry pieniężne; Jabłonowska miała dostać 510,000 i 60,000 (dwie summy).

Charakterystyczny zaszedł wypadek przy spisywaniu wyroku u wojewody brzeskiego; przytoczymy go, bo pokazuje jak przy wielkim nierządzie rzeczypospolitej obyczaje nasze były patryarchalne i niewinnością przedewszystkiem się odznaczały. Kiedy w izbie u wojewody przepisywano wyrok, Suchodolski, pisarz grodzki wołkowyski czytał, a Ignacy Łopaciński i Mikulski, wojski słonimski patrzali, czy nie ma pomyłek w kopji? W tem nadchodzi ks. Jan Łopaciński, późniejszy biskup żmudzki, jedno serce i myśl z koadjutorem, brat Ignacego, i przynosi na pokazanie order p. Jabłonowskiego, bardzo bogaty i drogi z prośbą, żeby oddali go koadjutorowi jak przyjdzie. Wrócił po niejakim czasie ks. Jan i orderu już nie zastał; przepadł gdzieś jak kamień w wodę. Zmieszali się trzej piszący i nie wiedzieli co myśleć, jeden drugiego miał w podejrzeniu. Stary Suchodolski nie wierzył młodym, ci staremu. To niewinność, a raczej naiwność wielka oskarżać się nawzajem, a nie dochodzić przyczyn. Suchodolski pierwszy odezwał się wreście, żeby dali się wszyscy zrewidować. Kiedy nadszedł łowczy Sapieha, który od księdza Jana dowiedział się o wypadku, rewidowali się wszyscy razem i poszukiwania żadnego nie wydały skutku. Na ten kłopot nadszedł gość nowy, sam ksiądz koadjutor z orderem. Wstąpił poprzednio do izby i zobaczywszy order, wziął go do pokazania pani wojewodzinie brzeskiej; nikt tego nie zważał. Skończyło się na śmiechu. (Djarjusz Ignacego Łopacińskiego).

Na trybunał z Wilna do Mińska pojechali wszyscy panowie i tam ostatecznie zgodę przypieczętowano, wyrokiem z dnia 15 Grudnia 1741 r. (Kurjer Polski). Taki to był koniec wielkiej sprawy, która w zawieszeniu trzymała całą Litwę. Na święta rozjechali się wszyscy.

W kilka dni po wyroku ks. koadjutor z wojewodą brzeskim pojechał do państwa Jabłonowskich w odwiedziny, żeby akt czysto prawny poprzeć towarzyską grzecznością i odebrać starostę puńskiego. Oczywiście po takiem zajściu zimne było przyjęcie i stosunki wymuszone. Rozmowa zawiązać się nie mogła. W tem wojewoda coś napomknął o wyroku. Na to znów odezwała sie matka:

— „Dekret ten jest dla mnie uciążliwy, ale nie czynię mu kontrawencyi i pozwalam synowi mojemu jechać do jks. koadjutora.“

I zaraz obróciwszy się do starosty puńskiego rzekła:

— „Masz jechać ze stryjem.“

Młody Sapieha nie pokazał ani radości ani żalu; pohamowawszy wszelkie wzruszenie zbliżył się do matki, pocałował ją w rękę na pocieszenie, wziął szpadę i stanął obok ks. koadjutora, który zaraz z nim pojechał do mieszkania łowczego Sapiehy, bo tam już się był przeniósł (Djarjusz Ign. Łopacińskiego).

Pomimo ugody, spory nie zakończyły się na tem; bo rozdraźnienie było za wielkie. Jakoż w kilka miesięcy potem, znajdujemy ślad, że kiedy Ignacy Łopaciński pojechał odbierać pewną summę, jaka się należała koadjutorowi od pąni starościny, a nie otrzymał jej według wyroku trybunalskiego, nie wypuścił za to z posessji Nieszkienicz i obadwaj pełnomocnicy nawzajem się pozwali przed sądy (w Kwietniu 1742).

Co się tyczy opieki jaką stryjowie rozciągnęli teraz wspólnie nad starostą puńskim, rodzicielska nie mogła być czulsza. Właściwie jednak koadjutor, tylko nią się zajmował. Łowczy zdał wszystko na brata. Opieka ta była nawet rozumniejsza od wielu i może wyjątkowa w rzeczypospolitej. Wtenczas bowiem, kiedy najznakomitsze domy dzieci swoje kształciły po dworsku, prawiły im o herbach kolligacjach, a nie o powinnościach i pracy, kiedy pani hetmanowa, żona *Rybeńki* Radziwiłła, kazała, żeby Karolek uczył się czytać strzelając do liter, bo się obawiała, ażeby nadzieja domu nie męczyła się i nie chorowała od nauki, koadjutor, sam człowiek na swój czas bardzo uczony, kształcił staroście puńskiemu razem głowę i serce. Pewno takiego wychowania nie mógłby Sapieha odebrać od ojczyma, chociaż ten książki pisał i był z ciężkiej swojej uczoności sławnym w Europie.

Prawda, że zawiele też robił stryj zabiegów, ażeby synowca co prędzej wynosić na urzędy, ale choroba to była panów ogólna, i trudnoż wymagać nam, żeby w koadjutorze żadnej nie znalazło się próżności. Miał ją, chociaż w pańskiej żyjąc atmosferze ani jej w sobie dostrzegał. Powiadał np. że nie żąda żadnych godności dla siebie, aby tylko miał je synowiec. Dobrze tak było powiadać temu Sapieże, który już był sam koadjotorem i któremu po śmierci starego Ziemkowicza prawem się dostawało biskupstwo wileńskie.

Niechaj tedy sobie rośnie pod jego opieką starosta puński na oboźnego polnego, podskarbiego nadwornego i wreszcie wojewodę połockiego, my zobaczym co się z młodszym jego rodzeństwem dzieje, a mianowicie z siostrą.

Młodszego syna zdaje się koadjutor powierzył matce i nie miał śmiałości go odbierać, chociaż miał do tego prawo. Przy niej także wychowywała się panna Anna, aż do za mąż pójścia. Otóż stryjowie, wprzód jak rodzona matka, pomyśleli o tem, żeby ją za mąż wydać. Zaczęła się więc nowa wojna w rodzinie: koadjutor zdaje się, miał powody do wystąpienia; być może matce, chciało się dłużej użytkować z posagu generałówny. To przynajmniej uderzające, że stryjowie pierwszy krok robią, a raczej stryj jeden ks. koadjutor, głowa tej linji sapieżyńskiej. Idzie o dobro rodziny, o podniesienie świetności imienia, o nowe jakie przymierze z dostojnym domem, jakoż według wszelkiej dyplomatycznej formy używanej po dworach, zaczynają się układy i namowy.

III. Niepomyślne swaty.

Koadjutor najprzód podał na rozwagę matce dwóch kandydatów do ręki panny Anny, to jest starostę przasnyskiego albo cześnika litewskiego (w Grudniu 1745 r.

Starostą przasnyskim był wtedy Błażej Krasiński, ostatni potomek z linji podskarbiego koronnego, miljonowej fortuny dziedzic i jedyny z Krasińskich bogacz, przy którym się cała biedna rodzina żywiła, wnuk wojewody płockiego, Jana Dobrogosta, założyciela wspaniałego pałacu w Warszawie i syn Stanisława kasztelana płockiego. Był to już wdowiec, może za stary dla młodej panienki, która dopiero poczynała się rozwijać, posłował jeszcze na konwokację po śmierci Augusta II. Nikt się jednak o to nie pytał, bo kawaler odpowiedni był wszelkim wymaganiom pychy. W dom jego spłynęła fortuna Czarnkowskich bo był Krasiński już wdowcem po Marjannie Czarnkowskiej starościance osieckiej, wielkiej pani i jak wiadomo znakomitego rodu, większego od najsławniejszych, bo sięgającego jeszcze czasów króla Bolesława Krzywoustego, kiedy się ochrzcił Pomorze.

Cześnikiem litewskim był młodziutki Michał Ogiński, także jedynak, ale z sześcią siostr swoich dziedzic Wiśniowieczczyzny, bo właśnie przed rokiem umarł ostatni z rodu książęcego Michał Wiśniowiecki; hetman wielki lit. Ksiądz koadjutor miał nadto niesłychaną chęć, brata swego łowczego wyswatać z wdową po hetmanie, jak wiemy, Radziwiłłówną, siostrą rodzoną starościny buskiej. Nowa gotowała się świetna dla Sapiehów kolligacja i przez innych pożądana.

Stosunki cokolwiek się zmieniły pomiędzy Sapiehami a dawną ich bratową i jej mężem. Pan Jabłonowski został już księciem i tylko z królami chciał mieć do czynienia, tylko po francuzku rozmawiał, nawet koadjutor szczery polak, który listy pisał zawsze w narodowym języku, musiał używać do niego francuzczyzny; już widocznie mu pochlebiał dla godności i wspaniale go nazywał: *Monseigneur*, *Votre Altesse*; o dzieci się jego dopytywał, *mes neveux*, o dzieła lukubracje księcia dla swojéj biblioteki się przymawiał. Książę przez żonę jakby naturalizował się w prowincyi został stolnikiem litewskim. Teraz rodzona ciotka dzieci generała Kazimierza, została jeszcze ich stryjenką, kiedy się dawny Sapieha ożenił z wdową Wi-

śniowiecką, ileż powodów do szczerych związków przyjaźni! Koadyutor też stawiąc matce kandydatów do ręki Anny, wolny zostawiał jéj wybór, brał tylko inicyatywę.

Krasiński był spokrewniony daleko z Jabłonowskiemi, ale w owych czasach pamiętały się dobrze wszystkie pokrewieństwa i powinowactwa. Gdyby matce podobał się ten wdowiec, koadyutor nawet na nią i na księcia zdawał wszelkie w téj mierze układy „bo im to zręczniéj będzie“, mówił do brata łowczego. Gdyby Ogińskiego wybrano, koadyutor układy brał na siebie. „Nieomieszkałbym to *dextre* wyrabiać“. Pisał radząc się brata, bez którego nic nie robił. Wprawdzie opiekunem przez króla mianowany cześnikowi książę podkanclerzy, Fryderyk Michał Czartoryski, miał jakieś rachuby na niego i chował go dla swojéj córki. W takim razie trudnoby było o cześniku Sapiehom myśleć, ale zmieniły się widoki chwilowo i „mogłoby to *succedere*, bo teraz Czartoryscy nie tak trwają o tego kawalera, który w tej roztropnéj familii jest *notatus*, za jakoweś ci *debita juventutis*“. Świetny tu hołd oddany Czartoryskim! nazywa ich koadyutor roztropnemi i tem widocznie wskazuje, że podziela ich widoki względem Rzeczypospolitéj. Innych rodzin nie ma roztropnych. Dowód i w tem rozumu Czartoryskich, że dla Ogińskiego stracili serce za jakieś przewinienia dziecinne, bo z nich wnosili, że małżeństwo z Ogińskim nieszczęśliwe być może. Koadyutor jest także roztropny: te przewinienia młodości i jemu nie dają spokoju, budzą wstręt do kawalera, ale dobrze to było narzekać Czartoryskim, koadyutor zaś był na dorobku, cała linia jego nie miała wysokiego stanowiska w Rzeczypospolitéj i dla tego nie odrzucał świetnego związku. Brata ostatecznie o radę prosił, i chciał się do niéj zastosować. W każdym razie zbijał zdanie brata, który także miał swoje osobne w téj sprawie widoki. „Wydać tę pannę za jakiego hajdamakę choć zacnego, jako mi Wmpan namieniasz, odpisywał bratu na list, którego nie czytaliśmy, cóż z tego, że konsolacja dla familii, a dla téj damy za szczęśliwość, co przez sumienie i honor upatrować powinniśmy.“

Widać, że Jabłonowscy zgodzili się oboje na Krasińskiego. Zatem ucieszony ks. koadyutor, chcąc przyśpieszyć sprawę, nie czekał już na ich swaty, lecz zgłosił się listownie do ks. Śliwickiego, wizytatora missjonarzy warszawskich. Była to w swoim czasie wielka znakomitość, ale mniéj dziś znana, bo w ogólności historyi Augusta III najmniéj dotąd podobno badaliśmy. Konarski ku sobie zwrócił powszechną uwagę, ale niesłusznie, bo Śliwickiego wpływ na wyższe społeczeństwo był nierównie silniejszy. O Konarskim wszyscy wiedzą, bo dzieła pisał i pamiątki literackie zostawił, Śliwicki zaś nic nie wydawał. Ksiądz nowego już świata, wymowny, zdolny, zręczny, elegancki, chociaż nie magnat, był za pan brat z magnatami, po francuzku ciągle mówił i pisał. Ksiądz Śliwicki miał tedy układać się o małżeństwo panny Anny, prosto ze starostą prasnyskim. Chociaż Śliwicki był wylany dla ks. koadyutora, jak dla wszystkich, niemniéj przeto i znakomitym był dyplomatą. Coś mu niewypadło brać się do téj rzeczy. Wymówił się pod jakimś gładkim pozorem, naczem się poznał Sapieha. Domyślał się tylko, że jakaś inna „pewna“ rodzina, jak pisze ks. koadyutor do Jabłonowskich, miała widoki na bogatego wdowca i dyplomata ks. Śliwicki nie chciał jéj wchodzić w drogę, boby się tam naraził.

Koadyutor tutaj lekko o tych przeszkodach napomyka, ale na szczęście, udało się nam trafić w listach starych i na tę intrygę. Mieszkała na Podlasiu około Węgrowa, dóbr starosty prasnyskiego, pani generałowa Kamińska, wdowa po pierwszym mężu Zaleskim, kasztelanie wiskim. Oprócz dwóch synów, miała córkę Anielę jedynaczkę, tę, która potem poszła za Jundziłła, podkomorzego grodzieńskiego. Pani téj chciało się koniecznie wyswatać córkę za bogatego wdowca i sąsiada, którego rachowano zapewne skąpo tylko, na 300,000 rocznéj intraty. Pani generałowa robiła tę sprawę przez przyjaciela swego domu, który też w wielkiéj żył zażyłości z Krasińskim. Był to gorliwy kiedyś stronnik króla Leszczyńskiego i z téj przyczyny ex generał wojsk francuzkich, Antoni Eperjaszy, człowiek, który niezmierny majątek przehulał i znajdował się ciągle w potrzebie: chociaż wielu pamiętało o nim, ale jak to powiadają, dziurawego wora napełnić trudno. Pani Kamińska ujmowała sobie Eperjaszego i po prostu płaciła mu jakby pensję za swaty. Ale pan generał nic sobie z tego wszystkiego nie robił i gotów był kasztelankę pierwszemu lepszemu swatać, jakoż poznawszy Marcina Matuszewicza przyjaciela Czartoryskich i Sapiehów, jemu także pannę Anielę obiecywał. Nic o tem ksiądz koadyutor nie wiedząc, namówił brata łowczego, żeby napisał list do generała, bo sam nie miał, jak się przyznaje, wielkiéj u niego łaski. „Jest to jedyny sposób, jaki nam pozostaje, mówił do księcia, ojczyma panny, żeby spróbować ze starostą prasnyskim“. Zresztą zaklinał księcia, żeby ze swojéj strony użył wszystkich środków, żeby tę sprawę pomyślnie ukończyć. „Submissyą swoją u stóp j. o. księżny Jmci dobrodziejki składał, Michasia ściskał serdecznie, imci pannie generałównéj kłaniał,“ aby tylko ująć sobie silnych sprzymierzeńców (list koadyutora z d. 29 maja 1746 roku).

Możemy teraz ocenić dyplomację ks. Śliwickiego, który wylany dla wszystkich, nie chciał zrobić nic dla Sapiehy, żeby nie podrażnić generałowéj Kamińskiéj. Niktby się inny tu nie wahał: sapieżyński umizg milszy był,

jakby przerażał, choćby gniew straszny, niewielkiego rodu szlachcica. Śliwicki jednak miał jakieś w tém widoki, że nie Sapieże, lecz szlachcicom wolał służyć.

RZUT OKA NA NIEKTÓRE UTWORY MUZYCZNE.

Muzyka jest sztuką, która zajmuje umysł, pieści serce, kształci i wyszlachetnia myśli i uczucia. Jej mowa jest przeczysta i niepokalana. A jeżeli kiedy dźwięki niedokładne rażą harmonijne ucho, to jednak nie oddziaływają nieprzyjaźnie na myśl, ani na uczucie.

Historja jej jest historją rodzaju ludzkiego. Melodja jest indywidualnością, a harmonja społeczeństwem. Starożytni przypisywali muzyce potęgę niezmierną, a Platon w księdze praw mówi o jej wpływie. I rzeczywiście kto umiłuje muzykę, kto umie ocenić wartość dzieł takich mistrzów jak Bacha, Mozarta, Bethowena, Schuberta, Mendelsohna, Chopina i tym podobnych, jest bez wątpienia obdarzony zaletami odznaczającemi się nietylko w muzyce, ale i w przedmiotach poważniejszych; a jeżeli powiem że duch jego i serce skłania się ku wszystkiemu, co ma stosunek z rozumem i wyższem uczuciem, powiem tylko samą prawdę. Dzieła wielkich mistrzów złożone z siedmiu nut gammowych, tak jak inne utwory muzyczne. A jednak z dzieł tych wydobywa się jakiś duch, jakieś światło, jakaś myśl która nam odkrywa piękność literatury, poezji, malarstwa, i ukazuje świetne i bogate obrazy całej natury.

Kto podniósł smak swój do stopnia ocenienia prawdziwych piękności muzyki, kto go ciągle kształci, ten bez wątpienia posiadać będzie umysł wyższy, uczucia delikatne i wzniosłe, i zamiłowanie w udoskonalaniu siebie.

Kraj nasz i obecnie posiada kompozytorów, których nie jeden utwór błyska genjuszem I tak w roku bieżącym nakładem pp. Gebethnera i Wolffa wyszły:

Widma Moniuszki, a kto nie miał sposobności słyszeć znakomitego tego utworu odśpiewanego i wykonanego w całości, może poznajomić się z bogactwem harmonji i fantazji muzycznej tego kompozytora, nabywając to dzieło na fortepian ułożone.

Uwertura tegoż autora p. n. *Bajka* na cztery głosy.

Z lżejszych kompozycji odznaczają się śpiewnością i rzewną melodją:

Deuxième Elégie, Ignacego Krzyżanowskiego, dzieło 29.

Chant sans paroles, Nowakowskiego, ostatni tego autora utwór, dzieło 65.

Do śpiewu 6 numerów Mazurków Chopina, pełnych uroku, ułożonych na głos pani Viardot.

Pieśń Rokiczany i piosnka Stacha z opery Rokiczana utworu Moniuszki.

Dla czego? piosenka tegoż autora.

Moja pieszczotka! słowa Mićkiewicza, muzyka Żeleńskiego. Piosenka bardzo wdzięcznego układu.

Prócz tego, nakładem tychże wydawców wyszedł tom 6ty (ostatni) dzieł kompletnych fortepjanowych Chopina, które w całości t. j. w 6ciu tomach kosztują rs. 22½. Również wyszły Dziady Moniuszki na 4 ręce, oraz pojedyncze śpiewy, z opery: Straszny Dwór, tegoż autora. *P. F.*

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

Dalszy ciąg.

— To wysoką zwierzchność wcale nie obchodzi, przerwał stary; my, potrzebujemy wiedzieć tylko nazwisko i powód przybycia. Nazywacie się więc....

— Rudolf Feursztejn i Adolf Zauerling.

— A cel waszego przybycia?

— Powiedziałem już, że jedziemy do Bolcen dla przyjemności.

Stary potrząsnął siwą głową i spojrzał na obcych z niedowierzaniem: To ciekawe, prawie podejrzane, możnaby powiedzieć, jeszcze dotąd nikt do Bolcen dla przyjemności nie

przybywał. Lecz co mi do tego, to wasza sprawa ze zwierzchnością.

— Jakże się nazywa ta zwierzchność? kiedy się troszczy o nasze nazwiska, to my mamy prawo o jej miano się zapytać.

— Nie wiecie jaka jest zwierzchność tutejsza? mówił stary przybierając wojskową postawę; tą zwierzchnością jest rada miejska.

— W czemże mogą radę miejską nasze nazwiska obchodzić?

— Jakto w czem? patrzcie ich, pytają się w czem? gderał stary podpierając się kijem. My się o to nie pytamy bo nam nic do tego, jemy chleb gminy miejskiej, za to jej służymy i koniec. Powiem wam jednak dla czego? nie dawno jakiś łotr wślizgnął się do miasta i Bóg nas tylko ustrzegł od jego sprawek, tyle bowiem nakradł w stolicy, że go śledzono i aby mieć skórę całą, prędko ztąd zemknął. Tu pokazała się korzyść mądrego rozporządzenia Rady miejskiej. Mogliśmy na wyższe wezwanie zaświadczyć z książki, z tej oto, do której panów nazwiska zostały wciągnięte, że łotr był tu w naszem mieście i po co tu przybył.

— To było jasne w istocie, no, teraz żegnamy! zawołał młodzieniec z pojazdu i dał znak stangretowi, żeby ruszył, lecz szlaban nie podnosił się jeszcze, a celnik z wyciągniętą ręką odezwał się:

— No! teraz prawo miejskie.

— A, a! tu chodzi przedewszystkiem o zapłatę, zaśmiał się stangret. Co się wam należy?

— Ekwipaż opłaca pół guldena, objaśnił celnik wskazując na tablicę wiszącą tuż przy szlabanie. Stangret spojrzał na tajemniczą tablicę, przerażony wysokością summy, lecz słońce, wiatr i deszcz już ją tak bardzo uszkodziły, że najbystrzejsze oko niewiele z niej mogło wyczytać. Ale to jest pojazd najęty.

— Nie ma tu co rezonować tylko płacić, wołał stary trzymając ciągle rękę wyciągniętą, pojazd użyty dla przyjemności liczy się do kategorji ekwipaży. Gdy będziesz wiózł kogo dla interesu, to pojazd będzie uważany jako najęty; ale dla przyjemności?... O! to najwyższej taksie podlega. Płać, a jeżeli się czujesz pokrzywdzonym to podaj piśmienne zażalenie do Rady miejskiej. Jedziecie dla przyjemności, to macie czas czekać na odpowiedź. Zapłacono nareszcie i pojazd wjechał do miasta. Stary zaś celnik zamknąwszy znów rogatkę. wszedł do domku, w którego jedynej izbie siedział, w starszym jeszcze od niego mundurze, przed ogromną, w skórę oprawną księgą drugi celnik.

— Przebyłeś tam długie korowody, ojcze Anzelmie? rzekł tenże nie oglądając się.

— Dosyć mnie czasu kosztowało, nimem ściągnął od nich nazwisko i opłatę, odrzekł Anzelm; dajcie mi księgę żebym wpisał jedno i drugie.

— Dajcież mi wpierw zesumować dochód z przeszłego tygodnia, ojcze Anzelmie; chciałbym go jeszcze dziś wnieść do kassy, nie dobrze jest mieć cudze pieniądze w kieszeni.

— Zawsześ sumienny panie Sztandacher. Na ustach Sztandachera przemknął się smutny uśmiech i rzekł półgłosem:

— Nie bylibyśmy oba zeszli na łaskawy chleb miejskiego szpitala, gdybyśmy nie byli oba sumienni.

— Macie słuszność kmotrze, odparł Anzelm, gdybyśmy uczciwość i obowiązki tak lekceważyli, jak dzisiejsze pokolenie, tobyśmy dzisiaj lepiej wyglądali i nie potrzebowalibyśmy nosić niebieskiego kołnierza celników i podnosić na starość ciężki szlaban.

— Ach! Anzelmie, lepiej jeszcze że szlaban dźwigamy, jak żebyśmy uchodzili za próżniaków, lub żeby nas ktoś palcem pokazywał, mówiąc: oto gagatki, o którychby można opowiedzieć nie jedną historyjkę, coby się aż obiła o ściany kryminału. Tak dowodził poczciwy Sztandacher, aż nareszcie kaszel go porwał, wyjął więc z papierka kawałek lukrecji, którą oblizywał zwolna, Anzelm zaś zażył tabaki z szyldkretowej tabakiery mówiąc:

— Jednak nie domyślaliśmy się przed czterdziesto laty, że nam na to przyjdzie, gdyśmy nasz szyld spółkowy przybijali nad handlem towarów, na rynku.

— To i cóż nam się stało strasznego, że tu jesteśmy? Nie nasza wina, że wychowawszy się po dawniejszemu, w nowszych czasach żyć nie umieliśmy. Naszą zasadą było nie liczyć na kredyt i kredytu nie dawać, płaciliśmy gotówką i wymagaliśmy gotówki i szło dobrze póki się nie wszczęła konkurencja; nowe sklepy zaczęły jak grzyby w około nas wyrastać, kto miał dwa tysiące, robił interes za dwadzieścia, biorąc towar na weksle. Te weksle nas zabiły, przepadł handelek i musieliśmy się poczytać za szczęśliwych, że żaden z nas się nie ożenił, a miasto udzieliło nam wsparcia jako obywatelom podupadłym nie z własnej winy. Gdy tak starzy rozmawiali, dał się słyszeć dzwonek i Sztandacher złożył książkę meldnnkową, ażeby udać się na obiad, Anzelm zaś usiadł na ławie przed domem, wygrzewając się na słońcu i czekając aż mu jego porcję przyniosą. Dumał staruszek a od czasu, do czasu przerywały mu to dumanie powitania przechodzących. Między innemi przechodził żebrak wlokąc worek z kartoflami, które sobie na mieście wyżebrał. Idź biedaku, mruknął do siebie pomalu i ciesz się z uzbieranej jałmużny. Ja ci twoich kartofli nie zazdroszczę, stary Anzelm może jeszcze pracować, może jeszcze wpisywać nazwiska przejeżdżających do książki rogatkowej i mieć swój procent od myta które pobiera. Jeszcze mu do tego daleko, żeby już ani pisać, ani szlabanu podnieść nie mógł. Co szósty tydzień zarobi sobie guldena procentu, z którego może dokupić co dzień pół funta mięsa dla położenia na swojej kapuście, notabene, jeżeli mu go niesumienny kucharz nie skradnie, jak to bywało

zeszłego tygodnia; ani się można nawet użalić, bo mięso na kapuście chociaż z własnej kieszeni dokupione, należy do nieprawidłowości które zaledwie bywają cierpiane gdyż zupa i kapusta są jedynemi potrawami z przepisu i wkrótce niemi tylko kontentować się będziesz musiał, stary Anzelmie, bo wkrótce ręka twoja będzie za słaba do podniesienia szlabanu, nowe siły przyjdą rugować cię z twego miejsca i siedmdziesięcio letni powie: precz z ośmdziesięcio letnim starcem! do mnie urząd należy. Skoro stanął na tem przypuszczeniu tak niedługo ziścić się mającém, staruszek westchnął, a oczy łzami mu zaszły. Wsparł brodę na kiju który podtrzymywał drżącemi rękoma i już nic nie myśląc smutnie przed siebie spoglądał.

Adwokat Schneeball i jego żona.

Najważniejszą i najznakomitszą figurą w Bolcen był Dr. prawa, adwokat Schneeball. Zaledwie od lat sześciu przybył tu z bardzo miernemi środkami, aby objąć świeżo ustanowioną posadę adwokata. Początkowo mała jego praktyka, rozszerzyła się w kilku latach do kolosalnych rozmiarów. Umiał sobie zjednać zaufanie miejscowych kapitalistów i robił ogromne interesa, sława jego tak się rozniosła, że pozyskał w małżeństwo najcudniejszą dziewicę, córkę bankiera Kajfura i to mu nadało jeszcze więcéj powagi, gdy kapitały teścia podparły jego kredyt; to też skoro śmierć wyrwała jednego z członków Rady, miasto jednomyślnie tę posadę jemu ofiarowało. Dr. Schneeball zamieszkiwał najokazalszy dom na rynku, dwanaście okien pierwszego piętra jaśniało karmazynowemi, adamaszkowemi firankami, zawieszonemi na złocistych ozdobach. W sieni zaś, siedział wygalonowany szwajcar, który nadawał pańską powierzchowność mieszkaniu adwokata i wiedział kogo i w jakiej godzinie przyjąć wypada. Obok pokoiku szwajcara, stał elegancki fotel, który miał właściwe sobie przeznaczenie. Pani adwokatowa znajdowała wstępowanie na schody zbyt męczącem, siadała więc na ten wygodny fotel i tak ją na górę wnoszono. Jednakże wstępowanie na schody wcale przykrem nie było; pokrywały je miękkie kobierce, lustra w mur osadzone otaczały w około, a rozliczne krzewy umiejętnie rozstawione, dodawały wdzięku. Na górze służący przyjmował wchodzących, żądając od nich biletów wizytowych, które adwokatowi przedstawiane były; jeżeli zaś gość nie miał biletu, mówił swoje nazwisko i z tem lokaj szedł do pracowni adwokata aby dowiedzieć się, czy go zameldować można. Potem dopiero otwierał drzwi do salonu i wpuszczał gościa mówiąc dobitnie nazwisko. Wśród takiego to ceremoniału, przyjmował Schneeball licznych klientów i interesantów, należał bowiem do każdego przedsięwzięcia, wmieszał się w każdy interes radzono się go i wierzono mu; tu zakładał nowy dziennik polityczny, tam wyrabiał u władzy pozwolenie na nową linję kolei żelaznej, a wszystkich potrafił olśnić nadzieją niesłychanej ztąd korzyści.

Podczas kiedy adwokat cały zatopiony w widokach ambicji i zbogacenia się, żona jego niegdyś ubóstwiana, a teraz skutkiem tych zajęć zaniedbana zupełnie, nudne wiodła życie. Całe godziny spędzała leżąc na miękkich poduszkach sofy, płacząc w bezsilnem zniecierpliwieniu. A piękna to była postać, której wdzięk podnosił jeszcze ubiór wykwintny. Ogień namiętności błyszczał w jej oczach i w jej śniadej twarzy, którą krucze wieńczyły włosy.

— Nie! dłużej tego nie wytrzymam, zawołała raz gwałtownie, zrywając się z sofy i chodząc szybkim krokiem po swoim buduarze. Znosić to życie samotne bez wrażeń i radości, to już nad moje siły!

Wprawdzie już kilka razy oburzała się w taki sposób, lecz po chwili wracała znowu do bezmyślnéj apatji, dziś, jednak stało się inaczéj; schwyciła nagle za dzwonek i dziwnym ogniem zabłysły jéj oczy, skoro dzwoniąc szeptała do siebie: muszę z nim pomówić!

— Rebeko! rzekła do wchodzącéj dziewczyny, dowiedz się czy mój mąż w domu?

— Pan Dr. Schneeball dopiero co wrócił. Był podobno w zamku, u księcia. W całem mieście już mówią o téj jego wizycie.

O! wierzę, zawołała Sara z goryczą, ludzie się zajmują jego bytnością u księcia, a nie troszczą się jaki wpływ mają na moje szczęście, te jego interesa, które go ciągle oddalają odemnie. Co im szkodzi, żem zaniedbana, opuszczona, smutna! I on sam o mnie się nie troszczy, ale troszczyć się będzie — to musi być inaczéj! Chcę z nim pomówić i to w téj chwili—idź Bebeko! powiedz panu, żeby do mnie przyszedł.

Skoro została samą, zaczęła się namyślać nad sposobem, w jakim mu niezadowolenie swoje wypowie. Było to raz pierwszy, że zamyślała pomówić z nim otwarcie; może też za pierwszem słowem pojmie jéj boleść i nie będzie potrzebowała uciekać się do wyrzutów. Postanowiła tedy wstrzymać się od nich.

Wejście jéj męża, na którego twarzy malowała się radość, zrobiło na niéj dobre wrażenie.

— Chcąc z tobą choć chwilkę pomówić, trzeba cię przez umyślnego sprowadzać, rzekła do męża zmuszając się do uśmiechu.

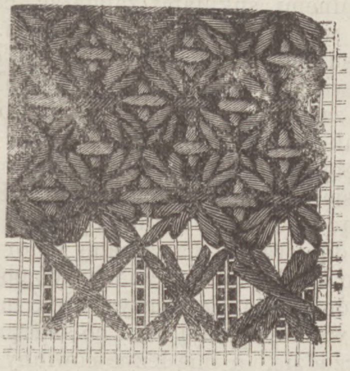
— Do kogożbym chętniéj przyszedł jak do ciebie moja najdroższa, ale ty wiesz, interesa rosną i obarczają mię....

— To zrzuć ich z połowę ze swojéj głowy i nie zaniedbuj żony, rzekła Sara swym najsłodszym głosem, biorąc go za rękę.

(*D. c. n.*)

Dodatek do Zeszytu XXIV Kółka Domowego.

Scieg na grubą kanwę



Deseń przedstawia gwiazdy złożone z trzech dużych ściegów czyli krzyżyków zrobionych jeden na drugim, tylko każdy w odmiennym kierunku, jak to uważać można w tém miejscu deseniu, gdzie tylko pierwsze, to jest spodnie krzyżyki są naznaczone. Wpośrodku tych gwiazd, w których trojakie krzyże najstosowniej robić jednym kolorem włóczką, tylko do cieniu, robić najciemuiejszym kolorem mniejszy, prosty krzyżyk licząc cztery nitki wzdłuż i cztery w szerz. Miejsca puste między tak utworzonemi gwiazdami, najstosowniej wypełnić białym czy jasnym jedwabiem lub włóczką: Scieg ten pięknemi kolorami wykonany, bardzo jest stosowny na pantofle, poduszki, worki podróżne i tp:

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1: Suknia jedwabna popielato lila, z dwoma spódnicami, z których jedna, dochodząca do ziemi, naszyta trzema czarnemi aksamitkami, krótsza zaś zwierzchnia podpięta na każdym brycie rozetą i oszyta w około czarną koronką. Szwy brytów pokryte wązką, z tegoż samego materjału pliską, mającą brzeżki wyszyte perełkami: Kaftanik peplum wygarnirowany koronką i spięty na aksamitne guziki. Kołnierzyk i mankiety koronkowe. Na głowie ubranie z czarnej koronki i fjołków. Rękawiczki paliowe.

Fig: 2: Suknia z popeliny zielonej w czarne pasy. Paletot luźny z czarnego aksamitu, krótki na bokach, z przodu i z tyłu dłuższy, wystrojóny koronką i jedwabnemi taśmami, naszytemi dżetem. Kapelusz z czarnego aksamitn z koronką, dżetem i dwoma różami, zawiązany pod brodą różową wstążką. Rękawiczki jasno popielate.

Fig: 3: Suknia *Gabviella* z jasnej wełnianej materji, gładka, spięta w staniku na niebieskie guziki. Tegoż koloru pasek i obszycie zakończone rozetami. Rękawy podwójne, jedne szerokie i roztwarte kroju zwanego *a la juive*, z niebieską potrzewką, drugie wązkie, także niebiesko wygarnirowane. Kapelusz niebieski. zdobny białemi perłami i koronką. Kołnierzyk koronkowy, rękawiczki jasne.

Fig: 4: Suknia z *poult de soie* hawańskiego koloru. Paletot z czarnego aksamitu spięty na guziki grube lawowe, długi, z tyłu wycinany w zęby objęte czarnym atłasem: Na bokach udane kieszenie, bogato naszywaną dżetem pasmanterją, zakończoną kutasami. Z tyłu pasa szarfy z atłasowej wstążki, zakończone frendzlą z pereł lawowych. Kapelusz biały jedwabny z czarną koronką i czerwonym ptaszkiem, wstążki tegoż koloru.

Fig: 5: Suknia z dwoma spódnicami, jedna szafirowa, obszyta aksamitką nabijaną stalowemi guziczkami, zwierzchnia zaś czarna w zęby, Jakkolwiek na rycinie jest kaftaniczek szafirowy bez rękawów, czyli raczej z rękawami czarnemi, jednak radzimy czytelniczkom naszym, jeżeli będą chciały mieć kaftanik koloru dolnej spódnicy, aby go kazały zrobić z jednostajnemi rękawami, niezbyt wygarnirowany. spięty na duże guziki jedynie; suknia bowiem krótsza jest tylko dobra na ulicę, a nigdy do większego ubrania, skromną więc być powinna.

Kapelusik kastorowy, bóciki z kozłowej skóry, na wysokich obcasach, dobre zarówno na mróz lub błoto.

O UBIORACH.

Moda sukien krótszych na ulicę, to jest nie dotykających bruku, który doprawdy żal porządnemi sukniami zamiatać, coraz się bardziej upowszechnia z poklaskiem wszystkich rozsądnych ludzi. Na ten krój można nawet łatwo przerobić suknie nieco zużyte u dołu, obcinając ich brzeg, a dodając natomiast na ćwierć łokcia lub więcéj szeroką falbanę, z odmiennego materjału dobrze zastosowanego kolorem. Do wyprawnych sukien przygotowują po parę takich falban dla odmiany, np. do sukni czarnej powycinanej w okrągłe zęby, widzieliśmy przygotowaną falbanę fjołkową, a drugą szafirową, które się przypinały pod zębami. Falbany te były przyszyte na potrzewce, mając fałdy dość rzadkie, płaskie, na jedną stronę. Jeżeli suknia jest w pasy, dobiera się na falbanę kolor pasów. Spódnica do tej sukni zarówno jak do każdej innej, ścinaną być powinna. Przy sukniach strojniejszych, które koniecznie powłóczyste być muszą, uważać bardziej należy na szerokość; za wąskie opinają się, co szpetnie wygląda, zbyt szerokie fałdują się na przodzie, a one leżyć powinny gładko i tylko ku dołowi się poszerzać, z tyłu też, część leżąca na ziemi niezgrabnie się załamuje. Najstosowniejsza zatem szerokość dołu jest 8 i pół do 9 łokci.

Opiszemy tu kilka sukien prześlicznych które widzieliśmy u pani Włodkowskiej, drogich wprawdzie, ale też tylko takie suknie wyrabiają się tak kunsztownie, że można je na wzór przytaczać. Nie idzie zatem, żeby każda z naszych czytelniczek podobną suknię sobie kupiła, lecz krój jej i ubranie w części naśladować może. Gorzej jest z wystrojem dżetowym, który zawsze jest drogi gdy piękny, ale i ten można naśladować w przybliżeniu czarną sieczką.

Suknia z ciężkiej czarnej materji, miała na bokach po dwa rzędy (w małych odstępach) szerokiej na dwa palce, jedwabnej. szmuklerskiej taśmy, przy której były po obu stronach brzeżki dżetowe i spore takież guziki, przy każdym z nich były z pereł dżetowych wyszywane brzegi dziurki, na którą niby to, guzik ten był spięty. Suknia więc wyglądała jakby spięta dwoma gęstemi rzędami guzików, złożona z dwóch części, przód bowiem kończył się gładko, tył zaś rozłożony we wspaniały ogon, jakby dworskiej sukni, miał głębokie na cztery cale długie, a na dwa szerokie zęby. Rękawy obcisłe, u góry i u dołu obszyte tą samą taśmą co u spódnicy; takaż sama taśma przechodziła przez plecy stanika i od szyi na obie strony ramion, tylko krócej spadała, na spódnicy zaś, począwszy od połowy paska zwieszała się okrągło frendzla dżetowa, niby kółka będące zwykle przy paskach krakowskich.

Druga suknia była z atłasu lila perłowego koloru (lapis). Z tegoż samego materjału plisa rysowała z tyłu i z przodu drugą spódnicę podniesioną na bokach w kształcie zębów, których część dolna tak samo jak i linia powtórnej spódnicy z tyłu, obszyta była frendzlą z białéj sieczki. Trudno wypowiedzieć świetność ubrania tego przy wieczornem oświetleniu.

Trzecia suknia z zielonego atłasu miała także za pomocą pliski udaną powtórną spódnicę, lecz tylko z tyłu w kształcie płaszcza dworskiego. Z przodu była wprawdzie oznaczona druga spódnica, ale tylko do połowy drugiej, w kształcie trzech długich, głębokich zębów. Całe to oznaczenie obszyte było białą koronką, z tą różnicą, że na części tylnej, która aż do samego dołu sukni schodziła, było jeszcze nad pliską ubranie zwane przez francuzkie modniarki *torchonné*. Jest to ukos, mniej więcéj na ćwierć łokcia szeroki, przefałdowywany w pewnych odstępach, skutkiem czego tworzą się zeń bufki. W każdem przefałdowaniu daje się poprzecznie kokardka z dwóch bufek złożona. Podobneż ubranie (*torchonné*) otaczało brzeg

stanika wyciętego do gorsu, była to bowiem suknia przeznaczona na wieczór nietańcujący. Do balowych sukien, ubrania takie, dają się lekkie z jedwabnego tiulu lub krepy, lub też z jedwabnej materji na lekkim materjale.

Piąta suknia z jedwabnej materji złoto żółtej miała drugą spódnicę (zupełnie otwartą na przodzie) oznaczoną rulonikiem czarnego aksamitu obszytym czarną koronką. Z tegoż koloru aksamitki kokardy umieszczone były w pewnych odstępach nad oznaczeniem powtórnej spódnicy i za pomocą aksamitnych końców łączyły się z drugiemiż takiemi kokardami, będącemi naprzeciw, już poniżej koronki, a więc na dolnej części spódnicy. Od tych niższych kokard jeszcze po dwa krótkie końce aksamitne spadały. Stanik odpowiednio wystrojony, był pod szyję.

Tyle o strojnych sukniach; do skromniejszych wełnianych dają na każdym szwie grubą wypustkę z półaksamitu; ta może stanowić jedyną sukni ozdobę; nie zawadzi wszakże dodać jeszcze po jednej stronie czarną wełnianą koronkę.

Jako nowość pokazała nam pani Włodkowska kwiaty olbrzymie, pokryte po większej części rosą kryształową, które się tylko pojedynczo na boku głowy przypinają. Nie sądźcie jednak szanowne czytelniczki, że to ubranie z jednego kwiatu jest za bezcen, bo nawet powiem wam na ucho, że prześliczne ale drogie.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Wywabianie plam.

Chcąc wywabić plamę, ważną jest rzeczą wiedzieć, czem jest spowodowaną, a im ją wcześniej spostrzeże się, tém łatwiej będzie ją wywabić. Każdą tłustą plamę z płótna i materji bawełnianych, najłatwiej wywabić ciepłą wodą z mydłem, z materji zaś które prać trudno, benziną, eterem siarczanym, terpentyną, lub amonją; tą ostatnią ostrożnie działać trzeba, gdyż przez niewłaściwe użycie może zniszczyć sam materjał. Lepiej zatem dolać do niej wody, i kilkakrotnie zmywać nią plamę, dopóki ta nie zniknie. Po wywabieniu jakimkolwiek płynem, koniecznie trzeba zmyć w tém miejscu materję wodą czystą, lub co lepsza, wódką, gdyż nawet tam gdzie plama zniknie, zostaną ślady jej wywabiania. Uważać też należy, żeby, kiedy się materję wilży jakim płynem, nie pozostawiać krańców jego rozlania bez roztarcia do suchości. Dobrze jest, wytrzeć je płatkiem umoczonym w eterze siarczanym, a w czasie wywabiania plamy, płótno pod spód materji podłożyć.

Żeby plam pozbywać się jak najprędzej, dobrze jest mieć pod ręką chociaż po trosze: amonji, soli szczawikowej, chlorku wapna w proszku i w płynie, benziny, olejku terpentynowego i t. p. W magazynie p. Cronier przy ulicy św. Krzyzkiej, sprzedają bardzo dobrą na plamy wodę, pod nazwą *Esprit minéral.*

Swieżo zrobioną plamę na suknie lub aksamicie, łatwo można zebrać nożem, póki tłuszcz znajduje się na kutnerze. Potem wytrzeć lekko, mocno rozgrzaną skórką (z miękkiej strony) od bułki lub chleba; można téż i watą. Gdy plama jest na materji jedwabnej, łatwo jest się pozbyć jéj naskrobawszy na obie strony bardzo miałkiéj kredy, dość grubo przyłożyć miękką bibułę i przeprasować żelazem nie zbyt palącem. Gdy plama wyjdzie na bibułę należy wytrzeć watą strzepawszy wprzód kredę. Benzina daje się użyć do materji jedwabnych najprzedniejszego gatunku, tylko

zawsze pamiętać trzeba o roztarciu krańców jéj rozlania, często bowiem plama zniknie, a zostaną zatoki obszar rozlania się czyszczącego płynu rysujące. Benzina jest także bardzo dobra do plam olejnych, np. kiedy kto obetrze suknię o drzwi świeżo pomalowane, ale za kosztowna jest na duże plamy, można więc z równie dobrym skutkiem użyć terpentyny czyszczonéj, a spirytus pani Cronier (*esprit minéral*) jest na to doskonały.

Powszechnie wiadomo, że glina używa się do wywabiania tłustych plam z podłogi, uważać tylko należy, aby glina była rozrobiona rzadko, można też dodać kilka kropli octu. Dobrze jest też umyć splamioną podłogę ługiem mydlarskim lub gorącą wodą, w któréj rozpuszczona została soda handlowa.

Przyprasowywanie łoju żelazem gorącém przez bibułę nie jest dobre, gdyż łój rozpływa się nietylko po bibule, ale i po materji, i tak powiększoną plamę zaledwie benziną wywabić można; lepiéj zatem zeskrobać najprzód łój starannie, przykryć plamę cienką bibułą i trzymać nad nią łyżkę blaszaną z żarzącemi się węglami, lub mocno rozpalone żelazo tak blisko, aby łój od gorąca się topił i wsiąkał w bibułę. Tak samo wywabić można plamy ze stearyny, nie kładąc nawet na nich bibuły, a tylko przybliżając rozżarzone węgle, stearyna bowiem rozpuszczona od gorąca, ulatnia się.

Wino czerwone farbowane, bardzo plami bieliznę, najtrudniejsze zaś do wywabienia kiedy zaschłe, najlepiéj więc je za świeża wyprać w ciepłem mleku, lub w amonji rozcieńczonéj wodą.

Plamy od wapna można wywabić sokiem cytrynowym, lub lekkim octem, wprzódy jednak starannie je wykruszyć i wytrzepać należy. Gdy na suknie wapno wygryzło kolor, dobrze jest po wykruszeniu go użyć amonji. Zbutwiałą bieliznę najlepiéj prać w wodzie z potażem i bielić na rosie, lub też w wodzie zmieszanéj z solą kuchenną i odrobiną salmiaku, ale ważną jest rzeczą suszyć potem na słońcu. Gdy na jasnych jedwabnych sukniach, długo przechowywanych bez przewietrzania zdarzy się pleśń, trzeba ją dobrze osuszyć i ostrą szczoteczką od zębów delikatnie zebrać, a potem wziąwszy jedną część amonji z dwoma częściami miękkiéj wody, czystą chusteczką lub gąbką wycierać.

Niektóre z tych wiadomości czerpaliśmy w niedawno wyszłéj książeczce pod tytułem: *Łatwe wywabianie plam i pranie materji wełnianych, jedwabnych, aksamitu, oraz lnianych i bawełnianych tkanin*, którą bardzo zalecamy naszym czytelniczkom; dowiedzą się tam bowiem różnych sposobów zaradzenia toaletowym kłopotom. Jak uprać i odświeżyć zgniecione pióra, jak siarkować Strucla najlepsza do herbaty, wstążki, blondyny, szale kaszmirowe i t. p.

Strucla najlepsza do herbaty,

Do garca mąki wziąść sześć łutów drożdży i rozmoczywszy w mleku gorącém rozczynić, najwięcéj trzema szklankami mleka, część téj mąki. Gdy się ciasto ruszy dodać 12 rozbitych żółtek, większe półszklanki sklarowanego masła, pół szklanki miałkiego cukru i skórki pomarańczowéj. Gdy po należytém wybiciu, ciasto dobrze wyrośnie, kłaść cienką jego warstwę na blachę wysmarowaną, przełożyć cienką warstwą massy migdałowéj, nałożyć na wierzch pozostałe ciasto i posmarowawszy żółtkiem upiec. Wiadomo, że massa robi się z oparzonych i obranych migdałów, które się tłuką w moździerzu skrapiane wodą, a potem mieszają z białkiem i cukrem.
